

KRONIKA RODZINNA.

PISMO DWUTYGODNIOWE.

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata wynosi w Warszawie: rocznie.....	rsr. 4 kop. —
półrocznie.....	„ 2 „ —
kwartalnie.....	„ 1 „ —
Na prowincji i w Cesarstwie dla nad- syłających pieniądze na prenumera- tę wprost do Redakcji: } rocznie.....	„ 5 „ —
półrocznie.....	„ 2 „ 50
kwartalnie.....	„ 1 „ 25

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych, w Ekspedycji Gazet, w wszystkich księgarniach i kantorach pism porydocznych i w Redakcji, przy ulicy Mazowieckiej, dom hr. Zamojskiego Nr. 1346; W Krakowie, w księgarni pana Friedleina; w Poznaniu, w księgarni p. Leitgebora; we Lwowie, w księgarni pp. Czajkowskiego i Seyfartha.

SPIS ARTYKUŁÓW. — Paryż obecny, przez Adama Goltza. (Dokończenie). — Stanowisko praktyczne dawnych niewiast, przez Wł. Chomętowskiego, (Ciąg dalszy). — Listy z Petersburga, List II., przez Artura Dolińskiego. — Wiadomości literackie. Irena czyli Chrześcijanie za Domicjana, przez A. B. — Eglantyna, powieść pani Beecher-Stowe, przekład z angielskiego J. C. (Ciąg dalszy). — Elementarz do Samouctwa. — Ogłoszenie.

PARYŻ OBECNY.

(Dokończenie).

Jednym z najbardziej może uderzających faktów dziejowych, objawiających się w końcu zeszłego i w ciągu obecnego wieku, jest nagłe zwiększanie się ilości stosunkowej, w każdym społeczeństwie, ludzi z samodzielnią myślą, żądaniami i czynem. Fakt ten niewątpliwy, jak z jednej strony, jest koniecznym następstwem historycznego rozwoju stosunków ludzkich, natury i potrzeb człowieka, w miarę, jak się jego umysł rozbudza i atmosfera cywilizacyjna otaczać go poczyna, tak z drugiej, jest źródłem niesłychanych trudności i zawiłań społecznych, dających się określić w tem prostym przysłowiu: „co głowa, to rozum.”

Jak sprowadzić te rozstrzelone, pojedyncze, samodzielne, coraz liczniej występujące rozumy do jakiegoś sfornego mianownika, do jednolitego działania i celu? jak uratować ludzkość pogrążoną w chaosie owych różnorodnych pojęć, żądań i gwałtownych bodaj domagań się, zadanie to do rozwiązania niełatwe, a przecież nieodzowne. Stan bowiem taki umysłów prędzej, czy później, koniecznie prowadzi do czynnego starcia, do krwawych zapasów, czego smutny przykład tak nie dawno jeszcze mieliśmy przed oczyma.

Sięgnąwszy myślą w przeszłość ludzkości, spotykamy się w ustroju społecznym, wszędzie, z ciemnymi i uległymi massami, które w różnych krajach i czasach pod rozmaitą formą, zupełnie podrzędne zajmują stanowisko, a pozbawione wszelkiej inicjatywy, oddane po większej części trudom fizycznej pracy, są posłusznym narzędziem uprzywilejowanych w społeczeństwie położen. Podrzędne to stanowisko mass i w ogóle ludzi pracą fizyczną się trudniących, stawiało ich nieledwie po za wszelki prawem i po za wszelką własnością. Umysły ich uszpione ograniczonymi czyniły ich żądania i potrzeby, a łatwemi ster ich i kierunek.

W państwach dawnych środkowej Azji, był tylko jeden samowładny pan. W uroczej skąd inąd Grecyi $\frac{3}{4}$ około ludności, stanowili ludzie pozbawieni wszelkich praw, będący sami własnością cudzą i przedmiotem handlu, narówno z każdym innym towarem. W państwie rzymskim, podług Gibona, ilość niewolników wynosiła połowę ludzkości. Całe bogactwo inicjatywa i wpływ przeważny w Rzymie, jednocyli

się w rękach senatorów i stanu wyższego, który stanowił zaledwie $\frac{1}{2}$ procentu ludności miasta.

Chrześcijaństwo, stawiające w zasadzie równość ludzi w obliczu sądów Bożych, lub cząstkowem poddaństwie żyła pod uciskiem najróżnorodniejszych zobowiązań dominialnych. W Anglii, podług obliczenia dokonanego za Wilhelma Zdobywcy, w XI-ym wieku niewolnych i pozbawionych własności było co najmniej $\frac{3}{4}$ mieszkańców.

W obec takich stosunków, mała tylko garstka ludzi zajmowała się wszędzie inicjatywą myśli i czynów, które przeprowadzanie pośród kornych i bezwładnych mass nie nastęrczało żadnej trudności. Praca umysłowa, koncentrując się w murach klasztornych lub niektórych świeckich przybytkach, gruntownej uprawie nauk poświęconym, nielicznym miała przedstawicieli. Druk zaledwie w wieku XV-ym odkryty, nie ułatwiał też szerzenia lada każdej myśli po świecie.

Massy chyliły korne czoła przed godłem krzyża, a słowo Boże, głoszone przez sługi kościoła, krzepiło pracowitą i żądnych ziemskich zachceń i żądań niemającą ludność. Stosunkowo nieliczni przedstawiciele klass wpływowych i uprzywilejowanych, owiani duchem rycerskim i wojowniczym, pomimo nie rzadkich podóczas gwałtów i nadużyć, stali wszelako przeważnie pod sztandarem wiary, która ożywiała ich czyny i namaszczała ich obyczaje i charaktery, niezaprzeczonej podniosłości i powagi cechą. Duch owych czasów odbił się plastycznie, w wspaniałej konstrukcyi przybytków Bożych, i uroczych pędzla utworach, którym późniejsze wieki dorównać w oryginalności nie potrafiły.

Tym ustrojem społecznym, z początkiem XVI-go wieku, wstrzęsła stanowczo reformacya. Ona, stawiając jako zasadę samodzielność rozumu ludzkiego, obudziła umysły mass do nowych pragnień i żądań. Z nią też prawie równocześnie, widzimy wybuchłą wojnę chłopów, która szeroko po obu brzegach Renu niosła zniszczenie, głosząc upadek wszelkiej duchowej i świeckiej władzy, i zaprowadzenie zupełnego szczęścia na ziemi,

przez zniesienie różnicy i bogatych ubogich i t. p. innych marzeń.

Od owych czasów, przy pomocy zwłaszcza druku, stosunek samodzielnych umysłów w społeczeństwach zachodniej Europy wzrastać poczyna, nawet w krajach, gdzie protestantyzm nia potrafił, jako wyznanie, zapuścić korzeni.

Szereg zaciętych między-narodowych walk, i wewnętrznych rewolucji, wstrząsa następnie wszystkie warstwy zachodnich krajów Europy, i budząc je jakoby z uśpienia, coraz bardziej powołuje do współdziałania na wszystkich działalnościach polach.

Wiek obecny, przy równo uprawnieniu tak pracy fizycznej i umysłowej, jak i wszelkich położeniach i stanowisk społecznych, rozwijając w sposób niesłychany dotąd w dziejach świata, przemysł, piśmiennictwo, komunikacje i jakoby oświatę, wprowadza w wir, rozbudzonej we wszelkich kierunkach myśli i działalności, całą nieledwie ludność krajów, bez względu na zamożność, płeć lub stanowisko w społeczeństwie zajmowane. Z tego stanu rzeczy wyradza się istna gorączka marzeń, żądań i pragnień. Ludzi inicjatywy, apostołów przeróżnych idei i pomysłów bez liku. Każdy z nich na swój sposób zbawić chce ludzkość, i do wymarzonego przez siebie doprowadzić ją ziemskiego szczęścia, a ponieważ myśl budząca, przechodzi zwykle fazę negacji, przeczącej wszystko, co nie ona zrodziła, przeto na pierwszym planie u mnóstwa nowatorów, stoi zniszczenie wszystkiego tego, co stoi na tradycji, objawieniu i prawdzie. Do tego ogólnego negacyjnego ruchu, przyłączyły się rzeczywiste i usprawiedliwione poniekąd przyczyny.

Jak z końcem zeszłego wieku usterki klas wyższych wywołały szereg pisarzy krytykujących, schorzałą i pełną nadużyć budowę Francji, wywołując potrzebę zniesienia feudalizmu, i porównania ludzi w szeregach stanów w obliczu prawa; tak w wieku obecnym obudziły się w dalszym ciągu kwestye inne społeczne, podnoszące konieczność zorganizowania na ulepszonych podstawach stosunku pracy do kapitału, i w ogólności położenia klas pracujących, i nie mających własności, do wybrańców losu, obdarzonych dostatkami i możliwością szerokiego używania uciech ziemskiego żywota. Kwestyę tę traktowało wielu pisarzy, pośród których dominuje mianowicie we Francji ekscentryczny Proudhon, usiłujący dowieść, że własność jest kradzieżą. Myśli te mają i w Niemczech swoich licznych przedstawicieli, pomiędzy którymi uwydatnili się byli Lassalle i Mar, wypowiadający, że kapitał jest dzieckiem pracy, który następnie robotnika ujarzma i gnębi.

Jak pojęcia roznoszone przez pisarzy zeszłego wieku wywołały straszliwą rewolucyę we Francji, która ogniem i mieczem przeprowadzała idee równości i w negacyjnych swoich zapędach, niestety! deptała równocześnie wszystko co święte i nietykalne; tak i obecnego wieku socjalni apostołowie, przygotowali dziką paryzką kominę, i cały szereg barbarzyńskich jej czynów.

Niemniej słusznie powiada głęboki myśliciel Schäffle (dzisiajjszy minister austriacki) bezstronnie i szeroko traktujący rozwijające się obecnie kwestye socjalne: „Z mnożeniem się coraz większym ludności, przy coraz trudniejszych warunkach utrzymania bytu, z postępem samodzielnego myślenia w kierunku społecznym i politycznym, wzrasta też prawdopodobieństwo szerszych domagań się, ze strony wszelkiego rodzaju proletaryatu. Nigdzie bowiem nie zabraknie materiału do

uzasadnionej poniekąd skargi, tam zwłaszcza, gdzie w klasach pracujących obudziła się myśl i samowiedza godności osobistej”. Dla tego też, zdaniem Schäfflego, kwestye te społeczne zwrócić na siebie powinny szczególną uwagę każdego myślącego, i każdego cokolwiek posiadającego człowieka.

Ostrzega niepospolity ten pisarz przedstawicieli kapitału, aby: „nie unosząc się gniewem, chcieli się do brze zastanowić, czyli klasy pracujące niemają pewnego prawa żądać polepszenia losu, i czyliby wprowadzeniem niejakich ustępstw i reform, nie zapobiegło się groźnym wstrząśnieniom, o długotrwałą boleść pripraviającym społeczeństwu.”

Ostrzega on kapitalistów dalej: „aby w uporze swoim nie poszli w ślad feudalnych panów, którzy stawiając się, niegdyś, jak się wyraża, na równi z Bogiem i tronami, w jednym kraju przyczynili się do ruiny ołtarzy i rządów.”

Schäffle, wydał dzieło swoje przed ostatnimi wypadkami paryzkimi, które smutnem zaiste poniekąd są potwierdzeniem jego przewidywań.

I nie można się dziwić, że nie gdzie indziej, lecz właśnie w Paryżu, pojawiło się najprzód krwawe widmo socjalizmu. Bo, jeżeli w jakiej miejscowości, to tam niewątpliwie rozwijano przed oczyma każdego stałego mieszkańca lub czasowego przybysza, cały urok życia ziemskiego i jego rozkoszy, podniesionych do jakiegoś ideału.

Nigdzie nie umiano lepiej i skuteczniej rozlechywać pożądania owych rozkoszy, a tem samem budzić w uboższych zawiść do tych, co ich do syta używali i wywoływać gwałtowny popęd do szukania dróg i środków do ich, bąc co bąc, osiągnięcia. Obok takich zmysłowych wrażeń, niepomalu rozniecała żądze wszelakie rozigrana bezbożna prassa, rozgorączkowane powieściopisarstwo, pełne zgorszenia sztuki teatralnej, i wszelkie inne demoralizujące, a na jeden punkt nagromadzone wpływy. Budziły one w massach ludności samodzielną myśl, żądań i pragnień, a równocześnie zagłuszały ze szczętem głos prawdy Bożej i sumienia, które jedynie mogą tamte pohamować, i na szlachetne zwrócić kierunki.

Massy ludności, dopóki żyją w bogobojności i pracy, a zadowoleniu z swojej skromnej mierności, dopóty są pierwiastkiem zachowawczym i podstawowym społeczeństw. O ile massy te grunt wiary tracą, korny swój stosunek z zaświatem podepczą, a w pożądaniu jakiegoś lepszego, nie jasno pojętego, czysto ziemskiego bytu się rozgorączkują, stają się wówczas groźną falą, którą, jakby rzekę wezbraną, niełatwo przychodzi w karby porządku i karności ująć.

Lecz, czylibyśmy stąd mieli przyjść do wniosku, że pożądanem byłoby, aby massy w społeczeństwach pozostawały zawsze w pierwotnej prostocie pojęć, potrzeb i pragnień? Takie żądanie byłoby przeciwnem naturalnemu biegowi rzeczy, i jako takie nielogicznym i niewykonalnym. Siła bowiem wyższa, historyczna konieczność, wyraźnie otwiera massom, z dniem każdym coraz szerzej, podwoje nauki, światła i wszelkiej świadomości złego i dobrego. Konieczny ten popęd, przez najwyższą mądrość dopuszczony, ma dwa mianowicie wydatne cele, ściśle z sobą powiązane.

Pierwszym jest doprowadzenie każdego człowieka do pełnej świadomości siebie, aby z jej pomocą umiał samodzielnie uczynić wybór pomiędzy złem a dobrem, błędem a prawdą, występkiem a cnotą i z życia swojego, jako zupełnie świadom stosunku swojego do Boga i świata, zdał kiedyś rachunek przed Sędzią

Najwyższym i Panem wszechrzeczy. Oświecenie to, i naprowadzenie woli wszech ludzi na drogi jasne, z wolą Stwórcy zgodne, miał właśnie na myśli Zbawiciel świata, polecając uczniom swoim, by szli oświecać narody.

Drugim celem, jaki niewątpliwie osiągnąć ma rozwój oświaty pomiędzy massami, jest ułatwienie im warunków bytu ziemskiego, które, przy wzmagającej się ludności, coraz stają się trudniejszymi i coraz bardziej skomplikowanymi.

W harmonijnem połączeniu obu tych kierunków spoczywa dopiero prawdziwa i rzeczywista oświata, mogąca massy ludności, niedawno ciemne i korne, uczynić godnymi wzniesłego stanowiska człowieka, zarazem umiejaciami w miłości Boga i bliźniego żyć, a równocześnie na niebo i ziemski dobrobyt zarabiać.

Wszelkiego rodzaju wpływy usiłowały w krajach Zachodu zadosyć uczynić tej konieczności wprowadzenia mass na drogi postępu, ku obu celom dopiero wskazanym. Nie brakowało tam po wszystkie czasy licznych i niezmordowanych pracowników, nawołujących braci wszech stanów i położeń, aby niezbaczali z drogi wiary i cnoty, łącząc je z codziennem życiem i obowiązkami człowieka; aby nakoniec umieli pracować w pocie czoła, znosząc z pokorą cierpienia i boleści z tem życiem nierozdzielne. Głos ich niestety był głosem wołającego na puszczy, za którym zaledwie mniejszość podążała.

Szczęśliwsi byli apostołowie materyalizmu, niemoralności, niewiary, i używania; odziani w uludne szaty wymowy, pozornej nauki i talentu, pod firmą wabnych powieści, pism codziennych, odczytów, a nawet i dzieł poważnych, alboliteż, pełnych wesołości sztuk teatralnych, niesli bezkarnie truciznę massom, wyparając z ich duszy ostatnie nitki wiary i bogobojności.

Rozlechtane, a gorące pragnienie używania życia i jego uciech, niepohamowane uczuciem gruntownej wiary i cnoty w massach, nie mogło, jak wyprowadzić z nich na wierzch piekielne owe siły, z dopuszczenia Bożego niszczące to właśnie, co klasy oświecenijsze i konserwatywne otaczały czcią i poszanowaniem.

Szalony zastęp materyalistów, dążących do porównania człowieka ze zwierzęciem, do wskazania wreszcie dobrobytu i bogactwa, za wyłączny cel życia ziemskiego, szalony ten zastęp powtarzamy, miał sposobność przekonać się jak massy, zdemoralizowane ich technieniem, niszczyć właśnie umiejają owoce mozołną pracą wieków nagromadzone, skoro z nią nie idzie społecm uroczyisty rozwój religijnych uczuć i pojęć.

Z wyvodu tego przechodzimy do wniosku, że, aby sprowadzić Francję, a za jej przykładem błędzącą po manowcach ludzkość, na drogi normalne, należy przede wszystkim młodemu pokoleniu, w tym ciężko doświadczonej kraju, inny nadać duchowy kierunek, co najpierwszem też winno być zadaniem przewodników narodu i pojedynczych rodzin jego sterników. Idzie o to również, aby cały tak liczny zastęp ludzi, roszczących sobie prawo w tym kraju, do przodowania narodowi słowem, piórem lub czynem, zwrócił na jasne drogi ducha i obyczaje, a w pełnym i normalnym rozwoju życia rodzinnego, znalazł kolebkę dla odrodzić się mającej z gruntu Francji.

W każdym społeczeństwie, bąc co bąc, wyższe warstwy dają ton niejako, i kierunek pojęciom i obyczajom całego narodu. Gdy same są schorowane i zatrute, w jakiz sposób z roli tej wywiązać się potrafią? Od wieku blisko słyszeliśmy bezustannie podnoszony głos na Zachodzie, za koniecznością szerze-

nia oświaty między ludem. I dzisiaj czołowi mężowie Francji, w rzedzie powodów nieszczęść tego kraju kładą przedewszystkiem brak oświaty w massach i domagają się usilnie, w ślad swoich poprzedników, rozwinięcia na tém polu działalności. Ale mimowolnie zapytać byśmy się ich radzi, czy umiejają rzeczywiście zdać sobie sprawę z koniecznych dla zdrowej oświaty ludu warunków?

Nie dosyć jest zapraszać do uczyty biesiadników, ale trzeba gospodarzowi wiedzieć, czy spiżarnia jego dosyć zasobna w zdrowe pokarmy, aby należycie podjąć było można zaproszonych gości, a nie przyprawić ich o głód duchowy lub co gorsza może, o chorobę w skutek zatrutej i szkodliwej strawy. Wszakże najdziksze postęпки w czasie rządów komuny paryzkiej dokonywane były przez ludzi, którzy u stołu oświaty dotychczasowej sycili się bez miary.

Członek akademii paryzkiej Karo, w głębokim poglądzie swoim na wypadki obecne, zwraca uwagę, że wojna domowa tego-roczna we Francji, zupełnie odmienną miała cechę od wszelkich, wstrząśnień, jakim dotychczas ta społeczność ulegała.

„Tą razą, mówi on, w potwornym rządzie komuny widzieliśmy mnóstwo nazwisk, należących do świata cywilizowanego, zajmujących miejsce w kołach literackich, naukowych, a nawet pedagogicznych. Medycyna, stan nauczycielski, malarstwo zajmuje nieposlednie miejsce w statystycznym wykazie głównych działaczy komuny, ale najgłówniejszą rolę odgrywają w niej literaci.”

Jak smutnym jest zaiste fakt tu przytoczony, tak z drugiej poucza on, że owa oświata, o której tak wiele jest mowy w dziewiętnastym wieku, potrzebuje jakiegoś kierunku wyższego, jakiegoś innego namaszczenia, gdy zamiast zbawienie i pomyślność przynosić społeczeństwu, przyczynia się jeszcze do strasznych klęsk i nieszczęść, jakie je nawiedzają.

Ciężkie przygody, jakim Francja uległa, nasuwają również uwagę, że, jak to rzekliśmy na wstępie tej pracy, ulepszonemi być muszą społeczne ramy Francji, skoro dotychczasowe w tak straszny i pełen boleści popekały sposób. I w istocie scentralizowanie życia narodu w Paryżu, zupełne przyćmienie samoistności i wydatnych niegdys odcieni prowincji tego kraju; chorobliwe przeciąganie ludności wiejskiej nawet, do tego ogniska uciech i rozkoszy ziemskich; musiało najzgrabniej oddziaływać na zdrowie całego narodu, na normalny, spokojny rozwój jego stosunków, na obyczaje, a na koniec na ustrój życia rodzinnego.

Nie śmiemy wreszcie posiadającym i możniejszym warstwom społeczeństwa francuzkiego czynić wprost zarzutów, odnoszących się do stosunku ich do klass pracujących, które w kraju, zwlaszcza obfitującym w fabryki i rękodzieła, wydatne po miastach zajmują stanowisko.

Powtórzyć sobie pozwolimy tylko, pełne treści i znaczenia historyczne poglądy ministra Schöfflego który w tym przedmiocie tak się odzywa:

„Bez przymusowej zewnętrznej pobudki nigdy klasy wyższe nieczynią ohotnie ustępstw dla warstw od nich zależnych. Mieszkaniec miast (*bourgeois*) nie jest w tem lepszy od feudalnego pana.”

„Im starszy jestem i więcej życie zauważam, mówi Schöffle, tém więcej dostrzegam, że wprawdzie we wszystkich klassach zawsze znajdują się ludzie szlachetni, którzy wnoszą się po nad przesady i samolubne widoki swojego stanu, ale, że pomimo to nie mają oni dosyć wpływu, aby pociągnąć sobie równych

na pole dobrowolnych i chętnych ustępstw. Dawniej wierzyłem w przysłowie: *noblesse oblige*, dzisiaj wierzę w nie przestałem. Dzieje staro-rzymskiej walki plebejusów, uporczywość każdego ustąpić zmuszonego z przywilejów swojego stanu, a wszystkie liczne tego rodzaju fakta historyczne, przekonywają, że dopiero potężne wzruszenia z zewnątrz, zmuszają klasy uprzywilejowane do koniecznych koncesyj. Pojedynczo tylko ludzie szlachetni, i wyżsi zdolnościami i sercem gotowi są do zadosyć uczynienia żądaniom warstw od nich zależnych,—całe klasy i stany nigdy. I dlatego owe wstrząśnienia z zewnątrz przychodzić muszą nieomylnie, bo konieczność historyczna sama je *wyradza i wywołuje*”.

Niestety! smutne te poglądy męża stanu wiele zawierają w sobie prawdy niezbitéj, stwierdzonej wiekowym pochodem ludzkości. Wina z powodu onych bolesnych wstrząśnień solidarnie spada na wszystkie niewątpliwie warstwy, w skład społeczeństw wchodzące. Zarówno cięży ona na bogaczu i ubogim; o ile pierwszy, zapominając, że jest dożywotnim tylko piastunem hojnych darów Bożych, z obojętnością, albo co gorzej z pogardą spogląda na potrzeby drugich i miasto w ich sercach budzić tem samem poszanowanie, miłość i wdzięczności uczucie, podlega ich niejako do zawisłości i pożądania cudzego, a tak nieużyte posiadane dobra; o ile drugi znowu, to jest ubogi i potrzebujący, nieumie zgodzić się z losem swoim, lecz rozgrzany chucią pożądania wygod i przyjemności życia, łaknie onych, i bez względu na środki i drogi, zdobyć je dla siebie usiłuje.

Zarówno wina spada też na przełożonych, i podwładnych, o ile pierwsi uczuciem miłości bliźniego ożywieni nie są i zamiast wchodzić w potrzeby i słuszne nieraz wymagania drugich, kierują się wyłącznie osobistymi widokami, wszelkie względy ludzkości i dobra powszechnego odkładając na bok.

Wina spada zaś przeważnie na oświecenijszych w obec ciemnych mass, skoro nie przodują im przykładem cnoty, pracy i poświęcenia; skoro nie rozgrzewają serc ich, pociągając ku sobie uczuciem szlachetnej, pełnej ciepła i nadziejskiego tchnienia miłości bliźniego, skoro co gorsza zatrutym traktują ich pokarmem, i same własną nieledwie ręką, przygotowują dla siebie z ciemnych lub fałszywie oświeconych mass onych narzędzie kary Bożej.

Na zakończenie poglądów naszych, odnoszących się do ostatnich wypadków paryskich, wyprowadzmy dla nas pouczające, a na smutnem doświadczeniu Francji oparte wnioski i uwagi.

Wpływ Francji, szeroko rozlał, obok wielu dodatków, wiele też i ujemnych stron społeczeństwa tamecznego na ziemię naszą.

Poważna tradycja miejscowa podolała wprawdzie stawić w części opór, napływowemu obyczajom i pojęciom, tak, że złe tameczne niepotrafiło tyle głębokich zapuścić korzeni, tyle wydatnych szczerb dokonać, jak to na ziemi francuzkiej miało miejsce. Wszelako dużo stamtąd pożyczylismy trującego pokarmu, i dotąd podobno pożyczać go nie przestajemy. Najwięcej naśladownictwa francuzszczyzny napotykamy w prasie i w ogóle publikacjach naszych. Szczególniej też romanse i powieści francuzkie stały się ulubionym pokarmem wielkiej części czytającej publiczności, a korystnym przedsięwzięciem dla ich tłumaczy i wy-

dawców. O tych to właśnie romansach, powyżej cytowany znakomity Karo w poglądzie swoim, na ostatnie wypadki, tak się wyraża:

„Romans nowowoczesny ma swój udział i do tego udziału bardzo przeważny w odpowiedzialności za wypadki ostatnie. Wzory układnej przewrotności i zupełnego zepsucia duchowego, jakie przed oczy czytelników przynosi, oczarowały mnóstwo słabych umysłów, których przyrodzone popędy nie znalazły odpowiedniego kierunku w otaczającej ich atmosferze społecznej. Wielu tych nieszczęśliwych, którzy całe oświecenie swoje czerpali z tego zatrutego źródła, pokierowali życiem swoim podług wskazówek, znalezionych w onym wymarzonem świecie niecnym powieści i romansów.”

Nie potrzebujemy tać sobie, że na wzorach francuzkich mnoży się u nas niesłychana ilość i oryginalnych powieści, z których niejedna w potędze zgubnego wpływu tamtym nieustępuje. Trafnie powiedział nam niedawno jeden z pisarzy naszych:

„Trucicieli ciała pociągają sądy do odpowiedzialności. Truciciele myśli i ducha narodu chodzą i zarobkują nawet tą drogą bezkarnie.”

Zaiste mniemamy, że każdy biorący pióro do ręki lub przykładający się do jakiegokolwiek wydawnictwa, winienby stokroć razy zapytać sumienia swojego, czyli mu ono nie wyrzuca lekkomyślnego, a raczej karygodnego nadużywania stanowiska swego?

Odzywianie się do czytającej publiki jest, bąc co bąc, pewnego rodzaju kapłaństwem, do którego, bez poczucia pewnej odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi, przystępować nie wolno. Piszący jest siewaczem na roli umysłowej ojczystego społeczeństwa; a któryż rolnik byłby tyle szalonym, aby zasiewał kąkol miasto czystego i dorodnego ziarna. Wprawdzie kąkol osłodzony talentem i zajmującym obrazowaniem, przyniesie może korzyści materialne niebaczniemu siewczowi, ale społeczność, a może i jego własne potomstwo, zbierać będzie kiedyś gorzkie plony z jego wawrzynów i zysków literackich. A wreszcie, czyż miłość ojczystego społeczeństwa, i obowiązek, przykładający rękę do jego pomyślności, pozwala zatrucić życie macierzystego ciała i ducha?

Na równi z wpływem prassy, stoją i deski teatralne, na których przedstawiane bywają częstokroć bezcenne, a co najmniej niemające żadnej treści i celu wyższego utwory. Nieprzyzwoite sztuki, plastycznymi przyborami działając równocześnie na wyobraźnię i zmysły, jeszcze bardziej zgubny, jak czytanie złych książek, wpływ wyrzucić są zdolne.

Bolesno jest patrzeć, jak nieraz pełni talentu i znacności artyści zbierają oklaski od publiczności za przedstawienie scen gorszących z zepsutego życia Francji, którychby może sami rzeczywiście działacze nie śmieli w obec świadków publicznie dokonywać. A gdy się nadto obejrzymy, że w gronie przyklaskującej publiczności znajdują się skromne młode dziewice, którym niebaczne matki otwierają w ten sposób tajemice życia, w atmosferze ognisk naszych domowych rzadko kiedy, dzięki Bogu, się przytrafiające, wyznajemy że bolesé nasza nie ma granic.

Niedawno słyszeliśmy wypowiedziane zdanie, stawiające na równi Kościół, szkołę i teatr, jako środki kształcenia społeczeństwa, a że pojęcia takie, z duchem i przekonaniem narodu, a przede wszystkim za niezgodne z prawdą uważamy, przeto słów parę o nich powiedzieć tu musimy; a to tém bardziej,

gdy właśnie może w złem onych zrozumieniu leży w znacznej części choroba, tocząca organizm cywilizowanego świata.

Tak jest, — chorobą cywilizacji dzisiejszej jest, że dozwoliła zgubnym wpływom zapuścić nieprzejrzaną zasłonę, pomiędzy człowiekiem żyjącym na ziemi, a za światem tajemniczym, których właśnie łącznikiem i rozjemcą jest Kościół. A każdy przecież jest członkiem żywego Kościoła, i jako taki winien się poczuć w solidarnym obowiązku czynnego współdziałania w pracy duchowej, dążącej do udoskonalenia siebie samego, a następnie najusilniejszego współdziałania, aby to wewnętrzne doskonalenie się i postęp ku dobremu i cnocie, owionął współuczestników tego zbawiennego zjednoczenia i stał się hasłem wszelkich codziennych stosunków społecznego życia. Otóż właśnie tej solidarności, unoszącej ogół do powszechnej pracy ducha, do uroczystego moralnego postępu, wiodącej ludzkość do upragnionego stanu łaski, która przedziera zasłonę, nie dozwalając spojrzeć człowiekowi śmiało i ufnie w Niebo, zrozumieć jego tajemnice, technieniem stamtąd zaczerpanem ożywić i uzacnić, wzorem pierwszych Chrześcijan, to życie ziemskie, i jego rozliczne pełne zawikłań stosunki, — tej właśnie, powtarzamy, solidarności, mogącej jedynie zbawić błakającą się cywilizację, nie ma dzisiaj na ziemi.

Kościół nie stanowi sam ów przybytek, do którego nie jeden idzie jakby do szkoły albo do teatru, by posłuchać pięknej wymowy kaznodziei, lub wspaniałej muzyki, ale żywy Kościół jest przede wszystkim w duchu jego współuczestników, którzy, pod wpływem św. Sakramentów, jego przewodników i nauczycieli oraz wspólnej modlitwy i wspólnej też pracy duchowej, składają tę czeladkę Bożą, która równie też po za murami kościoła, ma rozliczne w zakresie ziemskim, w kole społecznym i rodzinnym, do spełnienia obowiązki.

Wyparła się cywilizacja mistycznego, ale pełnego prawdy i rzeczywistości, solidarnego stosunku swojego z za światem; wyparła się zależności swojej od Wszemmocnego Sternika wszechrzeczy; rozfałowała masy w swawolnych indywidualnych zachciankach i marzeniach. Siły te namiętne a krewkie, błędnymi jej dążeniami wyrobione, w samej jej metropolii występują, jako straszne narzędzie kary dla upamiętania powszechnych zapędów cywilizowanego świata, aby się zatrzymał nad przepaścią i obejrzał dokoła siebie.

W obec takzrozumianego Kościoła, szkoła zajmie stanowisko niesłychanie ważne, przygotowując człowieka do życia wśród stosunków ziemskich i nauczając go tego wszystkiego, co mu dla niego jest nieodzownym. Nie godzi nam się wszelako zapomnieć, że najpierwszą szkołą człowieka jest rodzina, ostateczną zaś, życie całe. Dobrych obyczajów, wszelakiej cnoty, miłości pracy, ducha poświęcenia, porządku w czynnościach, oszczędności w wydatkach, tego wszystkiego piastunem głównym, zasadniczą kolebką, nie co innego jest, jak rodzina, a w niej nauczycielami rodzice. Na nich też głównie ciąży odpowiedzialność za losy przyszłych pokoleń!...

A wracając do owej trójcy czynników powyżej przytoczonej, to wyznajemy, że niepodobna nam jest przyznać tak przeważnego stanowiska cywilizacyjnego teatrowi. Nie przeczymy, że gdyby wybór sztuk przedstawianych odpowiadał zawsze celom wyższemu zadania człowieka, teatr, jak to bywało już nie raz, mógłby wywierać wpływ zbawienny na masy. Tymczasem wszakże jak wiadomo, repertuar zwłaszcza paryzki, przedstawia sztuki, których zadaniem jest przede wszystkim

rozśmieszyć, ubawić i zyski osiągnąć, chociażby kosztem zgorzenia niejednej niewinnej duszy, niebacznie na te igrzyska zaprowadzonej, albo kosztem rozpłomienienia tlejącej zaledwie namiętności. Nikt też zapewne nie przyzna, iż zwiększenie ilości teatrów i rozrywek publicznych za oznakę postępu cywilizacyjnego uważać się godzi. Mimowolnie pożądlivość uciech i widowisk wśród tylu dopuszczanych Bożych, jakich obecnie, w skutek zwłaszcza ostatnich wypadków jesteśmy w całym cywilizowanym świecie świadkami, przypomina nam owe złowrogie Rzymskie motto „*panem et circenses*“ boć wśród przesilenia, w jakim się świat znajduje, obawa o chleb powszedni, coraz do zdobycia trudniejszy i niesłychana gra różnych ekonomicznych kwestyi, chodzi w parze z pragnieniem rozrywki, jakby na zagłuszenie jakiegoś tęsknego, rzewnego poczucia choroby, toczącej cywilizowaną społeczność, której to choroby poznaki straszliwe, tak nie dawno na bruku Paryża stały nam przed oczyma.

Z owych wypadków obowiązkiem jest wyciągać każdemu dla siebie naukę; obowiązkiem jest wejrzeć krytycznie w tajniki swojego ducha, w drogi, po jakich nasz umysł chodzić przywykł, w sposób, w jakim pełnimy obowiązki w rodzinie i społeczeństwie, w stosunki, jakie wiążą nas oświecenijszych do ciemniejszych i podwładnych, możniejszych do uboższych.

Tak jest, obowiązkiem jest każdego obejrzeć się, czy nie przykładą zarzewia osobą swoją do toczącej świat choroby i czyli sumiennym i należycie czynnym jest członkiem chrześcijańskiego społeczeństwa?

Są chwile w dziejach świata i narodów wydatnej aktywności i interwencji Nieba. Roboty ludzkie bodaj najmądrzej obmyślane psują się i rozstrajają wówczas w rękach ich działaczy; siły przyrodzone do dopuszczenia Opatrzności zarówno, jak i negatywne czynniki ducha, podają sobie jakoby rękę, by unicestwić zabiegi pychy człowieka.

Do chwil takich w niejednej tylko Francji obecne czasy zaliczyć się dają. Ręka sprawiedliwości Bożej usiłuje w miłosierdziu swoim doprowadzić tą drogą ludzi do refleksyi, pokory i prawdy. A że mądre jej rozporządzenia i bolesne na pozór ciosy, cel swój osiągają, dostrzegamy to już dotykalnie po niektórych znakach na francuskiej ziemi, gdzie naprzykład kommissya finansowa, rozpatrująca praktyczne kwestye dobrobytu i pomyślności tego ciężko doświadczanego kraju, nie waha się dzisiaj publicznie rapport swój Izbie złożony temi uroczystymi zakończyć słowy:

„Oby nas Bóg w tej pracy podźwignienia się prowadzić raczył, gdyż trzeba to uznać, że jakkolwiek byłaby siła zjednoczonych naszych dobrych woli, jakkolwiek szczerść i energia usiłowań, praca nasza bez pomocy Bożej jałową pozostanie.“

A. G.

STANOWISKO PRAKTYCZNE DAWNYCH NIEWIAST.

PRZEZ

Wł. Chomętowskiego.

(Ciąg dalszy).

Elżbieta z domu Zborowska, kasztelanka Krakowska, była żoną Jana Tarnowskiego, dziedzica na Łysakowie. Znakomici cudzoziemcy: ambasador cesarski Otto Truchses, biskup Augsburski i Jan Fr. Comendoni nuncjusz stolicy apostołskiej w Polsce, wspomi-

ją o niej w swych korespondencyach z największymi pochwałami. Owdowiła ona młodo w r. 1567, a niebawem rozniosła się pogłoska, że król Zygmunt August usiłujący rozwieść się z Katarzyną, pragnie pojąć w małżeństwo Elżbietę Tarnowską i stara się o jej rękę za pośrednictwem Jakóba Uchańskiego arcybiskupa Gnieźnieńskiego. Donosi o tem Jan Fr. Commendon i w liście do kardynała Michała Bonellusa z Wiednia 1568 r., ale zarazem dodaje, że młoda wdowa odparła z wielką godnością rzezone swaty i oświadczyła, że wolałaby raczej umrzeć, niż popełnić tak straszny występki. Tenże Kardynał Comendon przyjechawszy powtórnie do Polski na początku 1572 r., w liście do Kardynała Rosticuccio donosi o śmierci królowej Katarzyny i potwierdza znów pogłoskę o zabiegach króla Zygmunta Augusta, czynionych napróżno względem pozyskania ręki pani Tarnowskiej, o której wyraża się z wielkiem uwielbieniem: „la contessa vedova di Tarnovia, non pur catholica, ma di santissimi et religiosissimi costumi.” Według świadectw tegoż, miała oświadczyć ta pani na przełożenia ze strony króla, że nie czuje się godną królewskiego tronu. Odtąd nie napotykaemy wiarogodnych szczegółów o dalszych kolejach losu Elżbiety. Wprawdzie dziejopis Jakób August de Thou i inni podają że wdowa po Janie Tarnowskim Elżbieta, wstąpiła w powtórne związki małżeńskie z Andrzejem Dudyczem. Znane są przygody życia tego reformatora, niegdyś biskupa Pięciokościelskiego. Wysłany w poselstwie przez cesarza Maksymiliana II, z misją pojednania króla Zygmunta Augusta z królową Katarzyną, zakochał się w pannie dworze Reginie Strażównie, zatem oświadczył się jej rodzicom, których uzyskawszy przyzwolenie złożył pastorał, odstąpił od katolickiego kościoła i gorliwym został protestantem. Owóż po śmierci pierwszej żony miał pojąć Elżbietę Tarnowską. Świadectwo to popiera autor życiorysu Dudycza, Lorandus Samuely (De vita et scriptis An. Dudithii.... Halae Magdeburgicae 1743). Przytacza on między innymi dowodami napis na grobowcu, który Elżbieta wystawiła mężowi. Wszakże inny pisarz Antoni Marya Graciani, jakkolwiek współczesny Dudyczowi, zamilcza o tem małżeństwie, podając innego nazwiska niewiastę, jako drugą żonę reformatora. Ztąd Hieronim Lagormasino w przypiskach do dzieła Gracianiego (Korrespondencye i mowy Juljusza Pogiani) zbija wiarogodność rzezonego świadectwa. Dowodzenia atoli Lagormasina niemają uzasadnionej podstawy, zważywszy że w czasach reformacji zdarzały się wypadki nadzwyczajnych przejść z jednego obozu do drugiego. Wysławiana z pobożności, fundatorka i opiekunka zakonów, mogła być z czasem zmienić przekonanie, pod wpływem nowatorskich wyobrażeń. Nie jedna z pań naszych uległa temu ogólnemu prądowi. Wspomniawszy o działalności naszych niewiast w czasach reformacji, nie możemy pominąć kilku ciekawych szczegółów. Autor rodowodu Koniecpolskich zaznacza, że przodkowie jego przeszli na łono kościoła katolickiego za powodem swych matek, w czem zresztą nie doznawały przeszkód ze strony mężów, którzy byli protestantami. Inny autor biografii Anny z Lubomirskich Kasztelanowej Wojnickiej, podaje między innymi szczególne następujące: mieszkała ona w województwie krakowskim, gdzie jak wiemy, najbardziej rozkrzewiły się rozmaite protestanckie sekty. Wielu aryanów i kalwinów liczyła pomiędzy krewnymi i przyjaciółmi. Protestanci zarówno jak i kalwini zjeżdżali się gromadnie do dworu pani kasztelanowej. Zabawiała ich rozmową, a przysłuchując się różnym zdaniom, nie tylko

nie unikała religijnych sporów lecz sama brała w nich udział i występowała zawsze żarliwie w obronie katolickiego kościoła. Usiłowania jej nie pozostały bez skutku, jakoż udało się jej nakłonić do przejścia nie jedną rodzinę. Zdarzył się atoli wypadek, który wiele narobił rozgłosu. Jeden z przyjaciół i sąsiadów Anny Lubomirskiej, katolik poślubił protestantkę. Owocem tego małżeństwa była córka, którą matka wychowała w zasadach swej wiary. Ojciec ubolewał nad tem i zwierzył się ze swych skrupułów sąsiadce. Pani Lubomirska wzięła tę sprawę mocno do serca. W skutku ich narad wypadło, że ojciec przywiezie matkę z córką do jej domu. Stało się wkrótce zadość życzeniom kasztelanowej, która przyjęła jak najserdeczniej swą sąsiadkę kalwinę. Z początku zamysłała o dokonaniu dobrowolnego nawrócenia, więc wyczerpała w tym celu moc argumentów i całą siłę wymowy. Przekonała się atoli wkrótce, że usiłowania w tej mierze żadnego nieprzyniosą owocu. Usunęła więc dziewczę na stronę, i oświadczyła przy pożegnaniu matce, że upoważniona przez ojca panny, zatrzymuje ją w swym domu, aż do czasu zupełnego nawrócenia i ugruntowania w zasadach katolickiej wiary. Matka okrzyknęła się zdumiona i zaprotestowała z oburzeniem przeciwko gwałtownemu postanowieniu kasztelanowej. Protestowali również krewni i przyjaciele kalwini i grozili, że będą dochodzić prawnie wyrządzonej im wszystkim obrazy, w osobie pokrzywdzonej matki, jakoż rozniesiono wieść niebawem, że wydarto matce córkę, wbrew prawom i wolnościom szlacheckim. Nie uważała na zażalenia i groźby kasztelanowa, i odpięła zarzuty mówiąc: „Większe ma prawo do córki ojciec niż matka, on darował mi prawo do niej, zatem bliższą jej jestem niż matka.” Owóż jakkolwiek wyznajemy szczerze, że rzezony argument był naciągany i wcale nie przekonujący, nie odważono się sprzeciwić woli ojca i gwałtu odpięć gwałtem. Nie pytano się też o zdanie córki, która jakkolwiek zatrzymana pomimowolnie, przejęła się wkrótce zasadami nowej wiary, z czasem zaś, doszedłszy do lat dojrzałych, przywdziała suknię zakonną i wstąpiła do klasztoru. Była to chwila w której protestantyzm zachwiał się na swych podstawach. Wyznawcy sekt różnych, niezgodni między sobą usuwali się z pola walki, pod wpływem indyferentyzmu, lub przechodzili na łono katolickiego kościoła.

W końcu XVII wieku nastąpił zwrot nowy w życiu publicznym, a zatem i działalność kobiet w innym uwydatnia się kierunku. Nastąpiła epoka walki pomiędzy możnymi domami, o przewagę i pierwszeństwo w rządzie rzeczypospolitej. Obszerne tu odkryło się pole intryg dla stronnictw pobudzanych i podtrzymywanych przez zagraniczne dwory.

Wpływy królowych: Ludwiki Maryi i Maryi Kazimiery na umysły swych mężów, i stosunki z zagranicznymi dworami, zachęciły nie jedną z pań naszych do przyjęcia udziału w politycznych zabiegach owego czasu. Widzimy więc krzątające się w wirze spraw publicznych niewiasty, których rozległe łączyły stosunki, bądź przez własne urodzenie, bądź przez stanowiska ich mężów. Niektóre z tych pań, najbliższe stojące królewskiego tronu, wtajemniczone w politykę zagranicznych dworów, popierały ambasadorów, którzy starali się o zaskarwienie ich przyjaźni; inne korzystając ze względów króla i królowej, wyjednywały dla swych ulubieńców przywileje lub intratne starostwa. Na dworze królowych Maryi Ludwiki i Maryi Kazimiery, panie i panny dworskie, cudzoziemki rodem, podały przykład innym paniom

naszym używania i korzystania ze swego wpływu. Odnaczała się między innymi żona Podkomorzego Teodora Denhoffa, z domu hrabianka de Bessen. Wielka przyjaciółka króla Jana Kazimierza, popierała ona interesa ambasadora francuzkiego tem goręcej, że łączył ją z tym ostatnim ściślej zażyłości stosunek. Panna dworu, Beaulieu, ułatwiała zakochanemu ambasadorowi miłe *îête à tête* z panią podkomorzyną w ustronnych komnatach zamku lub w ogrodzie. Powiemy tu nawiasem, że z okoliczności romansowego usposobienia posła, obiegła wieścią do Warszawy, że niebezpieczny adonis, grozi spokojności wszystkich mężów. Ale pani Denhoffowa, nawet po abdykacyi króla Kazimierza nie wyrzekła się swej politycznej roli, owszem, mamy dowody, że nie mniej czynną była na dworze króla Michała Korybuta. Jan Sobieski hetman, późniejszy król polski, jakkolwiek nie lubił Podkomorzyny, starał się o utrzymania przyjaznych z nią stosunków.

Po wyniesieniu na tron króla Jana, w miarę wzrastającego wpływu królowej w sprawach wewnętrznych i zewnętrznych Rzeczypospolitej, wzrastał w równej mierze wpływ niewiast zbliżonych do dworu przez związki krwi lub przyjaźni. Wspomniona wyżej siostra króla, Katarzyna ks. Radziwiłłowa, posiadająca zaufanie i miłość brata, niepoślednią w sprawach publicznych grała rolę. Ambasadorowie zagranicznych dworów stawali się o jej przyjaźń. Poseł króla Francyi Witry, donosi swemu monarsze pod dniem 17 Kwietnia roku 1682, że siostra króla sprzyja najwięcej rezydentowi cesarskiemu.

Nie tylko krewne monarchy i w ogóle wysokiego stanowiska damy, ale wszystkie prawie panie i panny dworskie królowej Maryi Kazimiery, brały udział pośredni w owocnych intrygach. W skutku zagranicznego wychowania młodzieży, a nade wszystko napływu cudzoziemców, obyczaj królewskiego i magnackich dworów, kształcił się zupełnie na sposób zagraniczny. Młodzi ludzie w ich liczbie Aleksander Sobieski królewicz, pisali romansowe wiersze na cześć ubóstwianych pańien. Nierzadko też w owej epoce, spotkać się już możemy z owemi erotycznymi ustępami, które są niejako przedmową upowszechniającego się coraz więcej francuzkiego romansu. Musimż tu zaznaczyć, że na początku XVIII wieku spotykamy się z tłumaczeniami utworów kobiecych treści romansowej, jak np. „Historia zmyślona o Aryamencie z francuzkiego,” przez Maryę Zawiszankę córkę Krzysztofa i Teresy Róży Tyszkiewiczowej; nieznanzy z nazwiska przyjaciel, wielbiciel panny i jej talentu, wydał to dziełko pomimo jej zezwolenia i wiedzy, jak sam wyznaje w przedmowie.

Wspomnieliśmy na innym miejscu, mówiąc o przeszłości romansu, że rodzaj ten lekkiego piśmiennictwa zaczął rozkrzewiać się u nas najliczniej w drugiej połowie XVII wieku. Powiedzieliśmy także że panie nasze, wzięły w tej epoce czynny udział w upowszechnianiu francuzkiego romansu i powieści. Imiona dam dostrzegane na rękopismach owoczesnych, popierają to nasze zdanie. Owóż dowiadujemy się z przedmowy do romansu Aryamen, że na początku XVIII wieku (1717 r.) dwie siostry Zawiszanki powiększają liczbę dawnych autorek polek. Siostra wzmiankowanej Maryi, Franciszka, księżna Radziwiłłowa, żona Mikołaja przetłumaczyła również, jak ręczy wydawca, trzy tomy pewnej historii z francuzkiego języka na polski, osobiwą pracą i niewyexplicowaną pilnością, z której dosłoby było czytającym upodobania i t. d.

Mówiąc o działalności politycznej kobiet polskich, zboczyliśmy na chwilę, do historii romansu i autorek. W istocie dopiero w drugiej połowie XVII wieku, niewiasty bezpośredni biorą udział w literaturze zarówno jak w sprawach publicznych. W skutku obcych wpływów i postępu w oświacie rozszerza się zakres ich wyjątkowej działalności. Wiek XVIII, w stosunku do przeszłości wydał bardzo wiele znakomitych niewiast. Nie występując z po za obrębu naszego zadania, ograniczymy się na streszczeniu ogólnego poglądu i zanotowaniu kilku imion. Na czele znakomitych niewiast tego okresu postawimy Elżbietę z Lubomirskich Sieniawską córkę Stanisława Marszałka W. Kor. z pierwszej jego żony Zofii Opalińskiej. Wydana za męża za Adama Sieniawskiego Wojewodę Bełskiego, przebywając często u Dworu, pozyskała wkrótce zaufanie i przyjaźń Królowej Maryi Kazimiery. Młoda Wojewodzina przylgnęła całą duszą do swęj ukoronowanej przyjaciółki, jakoż pomimo ogromnej różnicy wieku, stała się powiernicą jej myśli i uczuć. Owóż widzimy ją krzątającą się gorliwie w sprawie dynastyi Sobieskich, w ostatnich latach panowania Króla Jana. Przyjawszy tę rolę stanęła w sprzeczności z interesami całej rodziny i własnego męża. Wiemy bowiem że Lubomirscy i Adam Sieniawski, wystąpili w czasie elekcji z kandydaturą do tronu Księcia Conti. Młoda nasza dyplomatką, niezrażona przeszkodami dążyła do zamierzonego celu z mężką prawdziwie energią. Skoro zwątpiła o pomyslnym skutku popieranęj sprawy, wyjechała wraz z Królową Maryą Kazimiara do Gdańska. Tu, używała następne swego wpływu na korzyść elekcji Augusta Elektora Saskiego, dogadzając w tém obrażonej dumie królowej wdowy, i widokom swych przyjaciół. Z upadkiem dynastyi Sobieskich, nie skończyła się dyplomatyczna rola Elżbiety Sieniawskiej. W epoce wojny domowej staje ona po stronie Augusta II i bierze udział w dyplomatycznych naradach, zatem podejmuje się pośrednictwa pomiędzy walczącymi stronami. Trudy poselstwa jej były bezowocne. Karol XII zaslepiony tryumfami swego oręza nie chciał przyjąć podawanych mu warunków przymierza. Wojewodzina Bełska wróciła do kraju, ale odtąd przywódzcy szwedzkiego stronnictwa nie spuszczali z niej baczno oka, uważając ją za osobę wielce niebezpieczną. Owóż zdarzyło się, że w chwili najścia Szwedów pani Sieniawska zasłała obłożnie w Warszawie. Postawiono straż przy jej mieszkaniu, następnie uprowadzili ją Szwedzi z sobą do Prus i więzili przez sześć miesięcy. Uwolnił ją dopiero Karol XII, pod pewnymi warunkami, na prośby panów polskich, mianowicie Józefa Potockiego i Jana Jabłonskiego.

O wpływach i różnych kolejach życia tej niepospolitej niewiasty obszerniej, na inném pomówimy miejscu. Zaznaczamy tu tylko, że Zygmunt Kaczkowski w historycznej powieści: „Sodalis Marianus“, bardzo błado, a nawet w zupełnie fałszywem świetle przedstawił tę zajmującą, charakterystyczną postać. Znał on ją zaledwie z pobieżnej wzmianki Otwinowskiego i niepoehlebnego, doraźnego jego sądu. Intrygantka czyli *rzędziucha*, jak ją nazywa Otwinowski, dumna wprawdzie, ale nadzwyczaj bystrego umysłu niewiasta, nie jest tak łatwą do odtworzenia postacią. Autor romansu popełnił błąd wielki, przystępując bez należytych studyów do kreslenia charakterów historycznych i znanych rozgłosnie osób. To też i portret Sieniawskiego hetmana nie odznacza się wcale wiernością kolorytu. Toż samo można powiedzieć o innych historycznych postaciach rzezonego romansu. Pomimowolnie, wspominając o przeszłości niewiast polskich nasuwa się uwaga, że główną

przyczynę niepowodzenia historycznego romansu, wypada przypisać nieznajomości rozmaitych odcieni, wchodzących w skład społeczeństwa w danej epoce. Autor nieświadomy tych stosunków prędko wyczerpie zasoby znakomitego nawet talentu. To też w powieściach Z. Kaczkowskiego powtarzają się nieskończenie jedne i też same warianty znanego typu Jana Chryzostoma Paska. Nie zaprzeczamy autorowi Murdeliona rzeczywistego, niepospolitego talentu. Obrazki jego tchną duchem staropolskich gawęd, odmalowane żywym słowem, odznaczają się wykończeniem artystycznym. Ale w romansach na większą skalę, w których spodziewalibyśmy się ujrzeć odwzorowane typowe postacie danej epoki, nie ma tej jedności ani kolorytu dziejowego. Portrety tam niewiast nader blade są naszkicowane, a nawet wizerunki mężów historycznych ulatniają się przed oczami czytelników, niby mgliste o nieokreślonych kształtach cienie.

Tymczasem wiek XVIII, jak wspomnieliśmy wyżej, przedstawia wiele znakomitych osobistości niewieścich. W dziejach lirycznej poezji i dramatu zaznaczają się dwa nazwiska: Elżbiety Drużbackiej z Kowalskich wychowawicy Elżbiety Sieniawskiej i Urszuli z Wiśniowieckich Radziwiłłowej. Pierwsza, budzi uśpione struny poezji naszej w utworach religijnej i romansowej treści; druga, urządza teatr w Nieświeżu, na którym przedstawiają się komedye i dramata, z wprowadzeniem po raz pierwszy ról kobiecych. Pierwsza dramatyczna autorka nasza biegłą była w nauce historii, prawa krajowego i kanonicznego, a nawet w teologii; uprawiając z takim zamiłowaniem nauki i literaturę zgromadziła znaczną bibliotekę. W szeregu znakomitych osobistości niewieścich nie jedno jeszcze moglibyśmy przytoczyć nazwisko, równie z pierwszej jak z drugiej połowy XVIII wieku. Nie jest tu wszakże naszym zadaniem opisywać dzieje znakomitych kobiet, owych meteorów w dziedzinie nauki lub na scenie politycznego świata. Zwrócimy się więc raz jeszcze do najogólniejszego, najpraktyczniejszego stanowiska, które zajmuje niewiasta w społeczeństwie. Zawsze było i będzie najwłaściwszym jej zadaniem rozwinięcie możebnej działalności, w zakresie odpowiednim jej zdolności i siłom, jako też potrzebom otaczającego ją społeczeństwa. W dawniej Polsce, w kraju przeważnie a nawet zbyt wyłącznie rolniczym, odznaczała się niewiasta rządnością nie tylko w zakresie gospodarstwa żeńskiego, ale i męskiego, albowiem, jak zauważyliśmy wyżej, zmuszona częstokroć zastępować męża, umiała sprawnie rządzić całym majątkiem. Ku tej więc stronie działalności dawnych niewiast zwrócimy nasze badanie.

Gospodarstwo właściwie żeńskie nie wiele różniło się od dzisiejszego, rozumie się, jak dziś tak przed trzydziestu laty rozszerzał się zakres w miarę zamożności gospodarzy. Utrzymanie ogrodów w kwitnym stanie było przedmiotem szczególnej pieczy dawnych gospodyń, uprawa chmielu i lnu, wyrób konopi, słoju i krup rozmaitego rodzaju, dalej chodowla krów i innego domowego dobytku, w niewieścich bezpośrednio były rękami. Starannie utrzymywane ogrody owocowe i warzywne nie tylko zaspakajały potrzeby miejscowe, ale były częstokroć źródłem przemysłu i dochodów. Owoce, mianowicie z okolic Krakowa i Sandomierza spławiano w znacznej ilości na szkatkach do Warszawy a nawet do Gdańska. Agnieszka Młodziejowska donosi mężowi 1589 roku, że przygotowała dwanaście beczek malin, które wyprawi wkrótce na szkatkach. Wzmiankowana pani, żona Jacentego Młodziejowskiego utęskniona w czasie długiej nieobecności męża, w obszernym serdecznym liście, wyraża swą boleść z powodu braku wia-

domości i niewidzenia go, a zarazem donosi o różnych szczegółach domowego gospodarstwa, jak np. o otrzymanym darze od pani matki mięsa połci 6, jęczmienia korcy 6, owsa korcy 6, dalej o sprzedaży niejakiemu Idzikowskiemu masła, serów, krup, chmielu, słoju na piwo, sadła, mięsa. Donosi że w robocie żadne nie stanie się omieszkanie z powodu nieobecności męża, że kazała omlócić jęczmień, na krupy i na słoju, że bardzo zadowolona jest z zakupionych krów, które nie mało przyczyniły nabałtu, nakoniec że wszystko urodziło się najlepiej w polu i w ogrodzie.

Doniesienia te przeplata pani Młodziejowska najczulszemi zwrotami do męża i przestrogi jak np: „dla Pana Boga proszę, szanujże waszność zdrowia swego, nie czyniąc sobie zbyt niemi pracami gwałtu, a na kamień tych niezdrowych rzeczy chroń się i biesiad, bo waszność musisz więcej pić niżli trzeba nad potrzebę, nie jesz waszność smaczno, jeno aż ostygnie, a doma możesz waszność lepszego czasu użyć według potrzeby zdrowia i t. d. Na inném miejscu pisze, że jako największą jest jej pociechą, nie widząc męża odbierać przynajmniej od niego wiadomości, tak najsroższem strapieniem nie słyszeć o nim wcale, co nie przypisuje wszakże jego niełasce, której nie doświadczała nigdy, jeno nieszczęściu swemu. W zakończeniu listu oznajmia, że wszystko zostanie w najlepszym porządku: „będziesz waszność miał dali Bóg do czego przyjechać, jedno w dobrém zdrowiu a rychło proszę. Dajże mi waszność znać kiedy przyjedziesz, abym zajechała drogę; jam z łaski Boga tak dobrze zdrowa, żebym i do Infant mogła z takim zdrowiem jechać, bylebyś waszność rozkazał i t. d.“.

Dawne gospodarstwo niewieście opisane jest najdokładniej w dziele Gostomskiego (1588 r.) W zakresie czynności gospodyń wiejskich był chów krów, owiec, trzody chlewniej i rozmaitego rodzaju drobiu. Starano się między innymi o rozmnożenie kur indyjskich i włoskich jakoteż kapłonów. Zamożne gospodynie sprzedawały znaczne zapasy mąki, pozostałe otrębie używały na wyżywienie dobytku. Pani sama lub w zastępstwie jej dworka czuwała nad przędzą, wełną i nabałtem; zajmowała się przyrządzaniem kasz rozmaitego rodzaju. Owoce i jarzyny były jedną z najważniejszych gałęzi domowego gospodarstwa i przemysłu. W przepisach ogrodowych czytamy: „Ogródek pięknie zasiał zioły ozdobnie pachnącemi, nasadź róży do wódki jakoteż dla wieńców, dalej: dzięgielu, biedrzeńcu, kadzidla, macierzanki, ślazu, kopytniku, bukwię, rumnu. Zaleca się gospodyni następnie: palenie rozlicznych potrzebnych wódek, nasuszenie ziół wonnych dla wanny albo ługu, przedzenie na cienkie płótno, robienie obrusów, serwet i ręczników, nabielenie nici dla pańien i dla krawca” który często robi w domu. Przypomina się dalej o pieczeniu ciast, małdryków, kołaczy, o smażeniu w cukrze i miodzie: gruszek, wiśni, orzechów włoskich, brzoskwiń i t. d. o suszeniu sliw i wiśni, przyrządzaniu octów winnych, miodowych i z agrestu.

Gospodyni, swobodna od zajęć domowych w porze letniej, towarzyszy mężowi w czasie żniwa, według słów wierszopisa z XVII wieku:

A pan gospodarz z panią, siadłszy w cieniu, w chłodzie,
Albo pod pięknem drzewem, przy ciekącej wodzie:
Gdzie woda z krynic szumi, ptaszkiowie śpiewają,
Wszelakięj im uciechy wdzięcznej dodawają,
Na robotniki swoje pilno poglądają,
Z dzbaną sobie ochłody czasem podawają.

(*Ekonomika albo porządek spraw ziemiańskich W. S. Jezowskiego, w Krakowie 1648 r.*)

Tenże autor opowiada o naradach pań z małżonkami, o przyjęciu i zabawieniu gości, zwłaszcza w porze zimowej, bo skoro zawitają sąsiedzi:

W skrzypce zagrawszy skoczno, w kobzę ukraińską,
Ucieszysz się z paniami, jak cytrą hiszpańską.
Pan gospodarz z gośćmi wesół chyżo skacze,
Pani każe piec gęsi, kapłony, kołacze.
Rozmaite potrawy oohotnie gotują,
Którymi wdzięczne gości chętnie częstują.

Zastawiano potraw bez liku, niekiedy do trzydziestu półmisków. Gani Jezowski ten zbytek, mianowicie podawanie kosztownych wetów, cukrów i owoców, jak: pomarańcz, kasztanów, migdałów, fig, marcepanów i t. p., zaleca zatem skromny ale smaczny obiad szlachecki:

Dobra bywa pieczenia górna w tłustym wole,
Także gaska pieczona, a kapłon w rosole,
I świeża sztuka mięsa, albo cielęcina,
Głowizna z chrzanem smaczna, z koprem jagnięcina,
Prosię tłuste pieczone, słonina w jarzynie,
W grochu, nie myśli drugi nigdy o zwierzynie,
O rybę zawsze łączno gdy sadzawka w domu,
Ma dla swojej potrzeby i dać może komu.

Zalecając oszczędność, zastanawia się autor ekonomiki nad przesadnymi zbytkowymi strojami niektórych niewiast. Szydzi z modnych szat z długimi ogonami i nierozsądnego naśladownictwa pań możnych, które według zagrnnicznego zwyczaju i dla większej okazałości prowadzić się każą. Radzi polkom, aby porzuciły kosztowne szaty i klejnoty i wzięły się szczerze do pracy, według następującego przepisu:

Kury i gęsi sładzi, odsadzać cieleta,
A pod owieczki stare podsadzać jagnięta,
W Maju — z owiec ozimną każ wełnę odbierać,
W Wrześniu znowu gdy będą ciepła się zawierać,
Szkody przestrzegać w gumnie, także i w oborze,
A nie tylko w szpiżarni ale i w komorze.
W alembiku przepalać prostą gorzałeczkę,
Z wina, z cukrem, z korzeniem, ziołmi na wódeczkę,
Z róży, z gruszek konfekty z cukrem w miodzie smarzyć,
Z wiśni soków narobić, z sliw powidła warzyć,
Ziele tatarskie w cukrze, skórki cytrynowe,
Smażyć każde osobno i pomarańczowe.
Potrzebna to rzecz w domu mieć dla małżoneczka,
Polityczna dla gościa, swego żołądeczka
Słabego, dobre wódki rozmaite w domu,
Dla przypadku jakiego i ratunku komu,
Miernie ich zażywając z rana, czasem na noc,
Róży w cukrze używać, czyni wszelką pomoc.
Nie wstydać się, nie mówić: nie mam czem częstować,
Lepiej się wczas mościwa pani przygotować.

Rzeczony autor „*Porządku spraw ziemiańskich*” zastanawia się w innym rozdziale nad zbytkami miejskich białych głów, które w strojach nowo modnych naśladowują szlachcianki. Ubierają się więc w bławaty, w sobole, w dziwnie ozdobione francuzkie peruki; starają się o najmodniejsze czepce, kapelusze, bindy i t. d. Naśladownictwo to przywodzi do rozpaczy, i. b. naraża na niepomierne wydatki szlachcianki, które bądź co bądź, chcą wyróżniać się ozdobniejszym i bogatszym strojem. W tem upatruje autor złą największą, co nie zadziwi nas wcale, skoro weźmiemy na uwagę, że według odwiecznego zwyczaju, szlachta wyróżniała się

zawsze i wszędzie od mieszczan ubiorem. W średnich wiekach stan każdy miał strój wyłączny przepisany prawem. W Anglii, gdzie stan kupiecki wcześniej niż w innych krajach dobił się wysokiego znaczenia, na mocy statutu króla Edwarda III o ubiorach, kupcy, którzy wykazali majątek w towarach w ilości pięćset funt. szter. mogli nosić strój szlachcica niższego rzędu, który posiadał sto funtów rocznego dochodu. W naszych miastach, jak w całej zachodniej Europie, począwszy od XIV wieku, uchwalano w miastach wilkierze przeciwko zbytkom w ucztach i strojach. Zamieszanie w zbytkowych i nowomodnych szatach jest jednym z najpowszechniejszych grzechów cywilizacji, to też narzekania w tej mierze moralistów, powtarzają się prawie w każdej epoce dziejów.

Zauważymy tu, że dla wdowy jedynie przyzwoitym sądzono strój poważny, czarny. Nie zawsze atoli młode wdowy godziły się ze swym losem; wiele z nich wyłamało się z uświęconego wiekami zwyczaju. Owóż na zjeździe w Opatowcu 1474 r. Król Kazimierz Jagiellończyk zatwierdził uchwałę, w której zabroniono wdowom noszenia innego koloru sukni, prócz ciemnego, wszelkich szat strojnych, nadto pasów złotych lub srebrnych. Wdowa wykraczająca przeciwko ustawie, pomimo napomnienia jednego z krewnych lub przyjaciół nieboszczyka, podlegała utracie męzowskiego majątku. (Bandtkie: Jus Polonicum.) (D. c. n.)

LISTY Z PETERSBURGA.

II.

Położenie geograficzne.—Osuszenie błot.—Własności klimatu.—Obfitość wód.—Rzeki i kanały.—Woda Newska.—Powódzie.

Petersburg położonym jest pod 59°57' północnej geograficznej szerokości i 47°58' wschodniej długości, na kilku błotnistych wyspach. Dla osuszenia gruntu, wykopano ośm kanałów, przerzynających miasto w różnych kierunkach; przedsiębrano i inne w tym celu środki, lecz przyroda w części tylko dała się zwyciężyć, a wilgoć pozostała wybitną cechą tutejszego klimatu. Drugą główną jego własnością są częste i gwałtowne zmiany powietrza. Nierzadko się zdarza, że w kilka godzin po największym upale, ciepłomierz nagle się zniża o dziesięć stopni i więcej. Skwarny poranek nie jest rękojmią że po południu nie nastąpi zmiana, wymagająca jesiennego okrycia. Najpogodniejsze niebo, w kwadrans zapelnia się chmurami, zsyłającami deszcz obfity. Między tęgim mrozem a deszczem nie przechodzi czasem i pół doby. Co więcej, w różnych punktach miasta jednocześnie bywa niekiedy zupełnie odmienny stan powietrza. Na jednej naprzykład ulicy, cisza i gorąco wielkie, na drugiej zaś, chłodny wiatr do samych kości zdaje się przenikać. W ogóle jednak, cisza w powietrzu jest tu rzadkim i bardzo pożądanym wyjątkiem, ciągle zaś wiatry, panujące we wszystkie pory roku, stanowią jedną z najprzykrzejszych własności tutejszego klimatu. Przy niestałości pogody, deszczochron staje się tu tak niezbędnym, że bez niego ani na godzinę nikt się z domu nie wydała, wyjmując chyba mroźne zimowe miesiące. Wyliczono, że w Petersburgu w ciągu całego roku, bywa tylko około stu dni pogodnych. O wiosnie z kalendarzów tylko się dowiadujemy. Rzadko kiedy w Kwietniu mamy dni ciepłe; zdarza się że drzewa nie okrywają się liściem do końca Maja. Najczęściej, po znacznym chłodzie, w Maju lub Czerwcu następuje gwałtowne przejście do upa-

łów. Roślinność rozwija się wtedy z gorączkowym pośpiechem. W parę dni, czasem w jedną nawet noc rozwijają się pączki na drzewach. Lato bywa zwykle dżdżyste i chłodne. Dwa, trzy tygodnie upałów w Czerwcu lub Lipcu, z burzą, grzmotami i piorunami, przypominają zaledwie o tój porze roku. Jeden dowcipniś trafnie nazwał tutejsze lato *zieloną zimą*. Naturalnie, że zdarzają się wyjątki, jednak ciepłe i pogodne lato stanowi tu wielką rzadkość. Jedynym urokiem tutejszego lata są: trwające od połowy Maja do końca Czerwca, światłe noce, które raczej zmierzchem dziennym zwaćby należało. Słońce pozostaje wtedy na horyzoncie od 17¹/₂ do 19 godzin w dobie; ukrywając się zaś na krótki czas, pozostawia po sobie brzask, pozwalający czytać i pisać bez światła sztucznego. Sierpień zwykle bywa dżdżysty, Wrzesień zaś dość pogodny, Październik, Listopad i Grudzień są to najnieznośniejsze w Petersburgu miesiące. Mgły nie dające rozpoznać przedmiotów o kilka kroków, pochmurne i słotne, przepłatane mrozami; dni, których krótkość dochodzi do sześciu tylko godzin, konieczność posługiwania się sztucznym światłem w ciągu całej prawie doby — oto jest obraz tutejszej jesieni. Prawdziwa zima (to jest mniej więcej stałe mrozy od dziesięciu do dwudziestu kilku stopni, z dobrą sanna drogą), zaczyna się zaledwie około nowego roku i trwa z krótkimi zmianami do Marca. Parę razy na tutejszym horyzoncie daje się widzieć piękne zjawisko zorzy północnej.

Dla uzupełnienia charakterystyki klimatu Petersburgskiego, (która może być określoną trzema wyrazami: wilgotnie, dżdżysto i wietrzno), dodać jeszcze należy, że klimat tutejszy, przy niestałości, czasem zadziwia swoją łagodnością, inną znowu razą przeraża nieubłaganą surowością. W zimowych naprzykład miesiącach roku 18¹²/₄₃, średnia Petersburgska temperatura nie przewyższała — 1⁰,5 R., to jest była cieplejszą od Odesskiej, w zimie zaś roku 18⁷⁰/₇₁ tutejsza średnia temperatura wynosiła — 11⁰,7 R., to jest równała się temperaturze Nowej Ziemi.

Rozrzucony na przestrzeni 92 wiorst kwadratowych, z których 76 wiorst stanowią łąd stały, Petersburg posiada taką obfitość wód (16 wiorst kwadratowych), że w całej Europie kilka zaledwie miast może mu w tym względzie dorównać. Oprócz ośmiu kanałów, piętnaście niżej wyliczonych rzek i rzeczek płyną przez Petersburg: Newa, Mała Newa, Wielka Newka, Mała Newka, Wielka Ochta, Mała Ochta, Fontanka, Mojka, Tarakanowka, Prażka, Głucha, Żdanowka, Karpowka i dwie Czarne rzeczki; przy tém czwarta część miasta dotyka zatoki Fińskiej. Newa jest największą z rzek tutejszych. Długość jej, od jeziora Ladogi do zatoki Fińskiej wynosi do 8¹/₂, w obrębie zaś Petersburga — do 2-ch mil, szerokość od 515 do 1065 łokci, głębokość od 18 do 30 łokci. Woda Newska, przeprowadzona za pomocą wodociągów do wszystkich prawie części miasta, powszechnie używa się tu do picia i jest bardzo smaczną, lepiej mówiąc; nie ma żadnego smaku, co stanowi główną zaletę dobrej wody; ale że zawiera cząstki wapna, soli, potażu, magnezy i soli glaubergskiej, na nieprzyzwyczajonych więc działa w sposób przeczyszczający.

Nizka miejscowość Petersburga, położonego w pobliżu morza, staje się przyczyną częstych powodzi, które co dwa, trzy lata, powtarzają się w niewielkim stopniu. Największe powodzie, które stanowiły prawdziwą klęskę, były w latach 1777 i 1824. Woda podniosła się wtedy do 7 łokci nad powierzchnię morza, przyczyniła niezliczone straty w ludziach i do-

bytku. Dla uniemożliwienia na przyszłość powodzi w tak zatrważającym stopniu, grunt ziemi w wielu miejscach został podniesionym, brzegi zaś Newy ocembrowano granitem, co bardzo się przyczyniło do ozdobienia ulic nadbrzeżnych.

Artur Dołbiński.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Irena, czyli Chrześcijananie za Domicyana,

powieść oryginalna p. M. G.

Znów pojawiła się u nas powieść, osnuta na tle pierwszych chrześcijańskich dziejów, ¹⁾ wdzięczna córka Fabioli, którą witamy radzi, pragnąc aby przedmiot obrany przez jej autorkę znalazł więcej naśladowców. „Za mało, za mało, ścigamy okiem te nieśmiertelne pochodnie, któreby nam nieustannie przewodniczyć powinny na każdym kroku życia, wyrzekła słusznie jedna z piszących niewiast naszych. ²⁾ Za wiele przywiązujemy wagi do bluszczu, który oplata skroń bohaterów ziemi; sledzimy czyny wielkich poetów, uczonych, wielkich wojowników, a wielu z nas, zna zaledwie imiona tych synów światłości, którzy wiarą zdobyli niebo, a miłością ogarnęli ziemię, święte jej zselając natchnienia.” Tak jest niewątpliwie; wyszukujemy starannie podań o znakomitych ludziach w zamierzełej przeszłości, aby na ich podstawie budować fantazyi naszej utwory, a nie chcemy brać do nich treści z życia bohaterów chrześcijańskiego świata, w którym również napotkać można pełno dramatycznego wątku, i poetycznych obrazów, obok uwydatniającej je ciemnej strony zepsutej natury ludzkiej. Wydana obecnie powieść pod tytułem *Irena*, zalicza się własnie do prac podobnych, dla tego więc zostawając, jak ta zwykliśmy czynić w sprawozdaniach naszych, rozbiór artystycznej jej budowy zdolniejszym piórom, napomkniemy tylko słowko o treści składającej się z ustępów życia dwóch patrycyuszowskich rodzin, pomiędzy które przeniknęła już prawda chrześcijańska. Wśród obrazów tych oświeconych gorącym promieniem południowego słońca, jaśnieją prawdą i życiem postacie, jak: Irena piękna i dumna pogańska dziewczę; Wirginia szlachetna rzymianka wytrwała w wierze pomimo bojaźliwości swęj natury niewieściej; Margarityta, izraelitka odkupująca winy swęj rodziny i Domicella biała lilia, którą kościół miał uczcić świętęj mianem. Obok nich uwydatniają się również mężowie: Maurycy Wespazyanus, przybrany syn cesarza Domicyana i tronu jego następcą; konsul Juliusz Agricola, papież Klemens, a wreszcie chwilowo goszczący pomiędzy nimi Jan Ś-ty. Irena bohaterka powieści za przybyciem do Rzymu z Aten gdzie wychowana była w domu ojca, prokonsula Fabricyusza, przyjmowana przez najbliższych swych krewnych konsula Juliusza i Wirginię jego małżonkę, jawi się najpierw w ich domu wśród uczty na jej cześć wydanęj.

„Gdy *scissorowie* w takt przy towarzyszącęj im melodyi fletu rozkrawali drób i ryby, powstał ruch jakiś pomiędzy niewolnikami, potem jedna ze złotych wyszywanych kotar co drzwi zasłaniały, rozstąpiła się zwolna i biała postać błysnęła w jej ramach.

¹⁾ Powieść podobna pod tytułem: *Vivia Perpetua* wyszła w Krakowie w 1869 roku wydana przez autorkę *Głosu duszy* i wiele innych nabożnych książek.

²⁾ P. Seweryna Duchńska.

Zjawisko stało się cicho i poważnie jak widmo z Olimpu i takiem się też wydało większej części biesiadników; zaczęli się zrywać z miejsc swoich i szmer rozległ się po sali, a biała postać postąpiła naprzód.

Była ta Irena.

Cała w bieli i sama bielsza niż alabaster, przybrana była w cieniuchne bisiorowe szaty otulające ją niby obłokiem i wspaniale wlokące się po ziemi. Nad pięknem jej czołem splotły się liście wawrzynu, wśród których przyswiecały ukryte szmaragdy. Około ręki wid się wąż złoty o rubinowych zrenicach, godło mądrości, ulubiona ozdoba ówczesnych niewiast; sandały zaś związane były rzemykami ze śnieżnej babilońskiej skórki. Za nią szła Lukrecya nierównie jeszcze bogaciej ubrana w purpurę i złotogłów, o drogim hafcie z pereł i dyamentów."

Ukazanie się obu niewiast silne wrażenie wywarło na ogóle gości. Poeta Martialis zawołał z zaklęciem do Juwenalisa: że Apollo jedną ze śpiewaczek z Parnasu im zesłał. Posadzoną młodą patrycyuszkę zwaną w Atenach słońcem Hellady, obok Domicelli głośniejszą również z cudnej urody w Rzymie; gdy się znalazły obok siebie wydatniejszą jeszcze się zdała różnica ich piękności. W chrześcijańskiej dziewczycy górowała słodycz i powaga, w poganice tryskało życie, czar i ogień. Domicella umyślnie usiłowała się zacierać przy każdej sposobności; Irena nie wiele również mówiła, ale każde jej słowo dorzucało iskrę do dowcipu drugich, i nowy świat przed umysłem otwierało, a każde wrażenie malowało się natychmiast w delikatnie wyrzeźbionych jej rysach.

Irena piękna i posiadająca wszystko co szczęście dać może nie czuła się przecież zadowolnioną, bo bystry jej umysł dotąd nadaremnie poszukiwał prawdy. „Prawda, dziwne słowo mówiła na wstępie do Rzymu krewnym swoim, trzech filozofów wykladało mi ją teraz: stoik, platończyk i epikurejczyk. Słuchałam ich uważnie dla dwóch pierwszych przejąłem się nawet zrazu zapalem, ale nie dotrwałam w nim do końca. Wpadł mi potem w ręce Phaeton Sokratesa, przeczytałam go, łzy szczęścia wylewając nad cudną teorią o jedności Bóstwa i o nieśmiertelności duszy. Ale cóż? doszedłszy do ostatnich wierszy znów niesmak uczułam. Cóż chromego, niepełnego, niedokończonego, wiało na mnie z tych wyżyn; rozum je wielbił, lecz duch pragnął czegoś więcej. Szalony on zaprawdę ściaga i ściaga marę ideału, jakby w tém tylko było jego życie, czasami nawet zda się, że ją chwyta, dostrzega cudne olbrzymie jakieś widnokregi; poczuwa świat piękna tak silnie, że w uniesieniu gotów już wołać tu prawdę! Ale zaledwie roztworzy ramiona, aby ją przytulić, znikła cudna *fata morgana*, i zamglony gorączką daremnych badań, musi znów przypuszczać chwilowo, że prawda bezwzględna nie istnieje wcale.” Jak tu widzimy, pogańska tęskni do nieznanego Boga, owego rzymskiego *Deus incognitus*, którego daremnie odszukać pragnie. Gdy przy uczcie podano jej lirę, prosząc aby improwizowała, w natchnionej pieśni wypowiada swą tęsknotę. Skoro umilkła, deszczem z róż ją osypano; w obecnym tam kółku chrześcijańskim, nie jedna cicha łza spłynęła, poparta błagalną modlitwą i nie jedno westchnienie uzalilo się Panu, że istota tak hojnie przez niego obdarzona, prawdziwą wiarą nie żyje. Dwa zwłaszcza serca uderzyły silnie, widząc jak Chrystus przeczuć się daje pogańskiej duszy, Maurycy i Domicella spojrzeli na siebie, a potem na Irenę, z wyrazem tej miłości tkliwej i świętej, co w nas się obudza niekiedy, jak odbicie uczuć Boga, dla szczególnie miłej mu

14
duszy. Maurycy Wespazyanus ulubieniec cesarski, a potajemnie gorliwy chrześcijanin, powstał i odpowiedział Irenie improwizującą, w której opiewał prawdę. Od owego czasu powstała w sercu młodzieńca miłość dla pięknej dziewczycy, która następnie zmieniła się w czyste nie ziemskie uczucie, marzące jedynie o życiu w wieczności, obok ukochanej istoty. Bo Maurycy od lat pachołących poświęcił się służbie Chrystusa, i pragnął jedynie rozszerzać królestwo Jego na ziemi. W przed dzień uczył u konsula Juljusza, dowiedziawszy się na radzie cesarskiej, że prokonsul Azji, pochwycił i przysłał do Rzymu jako więźnia, starca głośnego na całym Wschodzie, Jana hebrajczyka, miał przeczuć prorocze, że Apostoł bezpiecznym pozostanie w rękach swych przesładowców.

— „Jana tu wiodą! Jan wkrótce tu będzie zawołał cały rozplamieniony radością, zwracając się do cesarza. O Panie! Wszak zwykle znaczniejsi więźniowie puszczani bywają na wolność za poręką obywateli Rzymu, przez czas toczenia się ich sprawy. Wszak Nero oddał Pawła Pudensowi; Panie niechże Domicyan odda Jana do domu ojca mego Flawiusa Klemensa. Jam tak spragniony go poznać, zrób to dla mej miłości!” I Domicyan w przekonaniu, że zadowolni jedynie dziecinną młodzieńczą zachciankę, zezwolił na żądanie swego ulubieńca. Maurycy pośpieszył oznajmić tę wieść radosną chrześcijańskiej rodzinie swojej, którą składali ojciec jego senator Flawiusz Klemens, stryj Klemens biskup rzymski, młodzieńczy brat Cyryl, krewna Domicella i matka pobożna Flawia. Wszystko przygotowane na przyjęcie ostatniego z żyjących za czasów Chrystusa uczni Jego, i po ukończonej biesiadzie w której Irena zajaśniała czarem swych wdzięków, znaczna część gości, a nawet sama pani domu Wirginia Decidiana wraz z niewolnicą swą, a siostrą w wierze Margaritą, wymknęła się potajemnie, aby się znaleźć wraz z drugim na zgromadzeniu wiernych, któremu przewodniczyć miał Jan Ś-ty. Gdy przybyły tamże, już sala zwana Pudensową napełniona była.

„Mężczyźni z rękami w krzyż założonemi stali po jednej stronie, niewiasty w zasłonach po drugiej; cisza głęboka panowała do koła, w tem śpiew dał się słyszeć, śpiew cudownej nie ziemskiej harmonii, który dolatywał zmieszany z woniami mirry i aloesu. Jednocześnie z bocznego kruzganku wyszedł Cyryl w długiej lnianej szacie, z promieniejącem wejrzeniem i srebrną kadzielnią w rękę; za nim szereg dziewic poświęconych Bogu, z jarzącemi pochodniami, i cały kler rzymski od najniższych stopni; a potem sam biskup Rzymu i świata chrześcijańskiego Klemens; a nakoniec niesiony w krzesle przez czterech młodzieńców, ukazał się 90-letni starzec, od którego biła jakaś dziwna łuna, biała; na jego widok wszyscy padli na kolana i powstał płacz wielki, gdyż był to Jan Apostoł!

„Szaty miał całkiem proste, a na czole złotą obręcz, jedyną oznakę godności biskupiej. Broda śnieżną falą spływała mu na piersi, oblicze jaśniało tym pokojem co wyrasta z siły, ale z siły nie własnej lecz czerpanej z wysoka, i święta piękność zeń tryskała jako odbicie Tego który żył i mieszkał w uczniu swjej miłości. Rysy miał niewymownie słodkie, obok tego więc oczy jaśniające bystrością i ogniem młodzieńczym, nadawały mu pozór gołębia o orlem wejrzeniu.

„Za ukazaniem się Apostoła niepodobne do opisanego wzruszenie ogarnęło całą drużynę chrześcijańską; łkając wszyscy poczuli tulić się do nóg jego i całować kraj szaty. Matki podnosiły dzieci w górę po nad ciżbą wołając:

— Patrzcie! patrzcie pilnie! bo oto ostatni co z Panem obcowali!

— Ojcie! wołali inni, my cię nie damy wyrwać z pośród siebie, raczej sami poginimy! Pobłogosław nam! opowiedz coś słyszał od Boskiego Mistra!

A Jan S-ty rozciągając dłonie nad splakaną rzeszę: „Najmilsi moi, rzekł słodko: synaczkowie moi, miłujcie się wzajem...”

Skoro po pierwszych jego słowach cisza wielka nastąpiła w tłumie, mówił dalej, jak uczniowi Chrystusa do przyszłych męczenników Jego mówić przystało. Mówił o miłości i o krzyżu; świadomość pierwszej zaczerpał wprost na łonie Mistra; a naukę cierpienia przyswoił sobie w owych wielkich trzech godzinach, w których stał pod krzyżem z Matką Bolesciwą. Mówił — a każdy wyraz padał jak plenne ziarno na urodzajną niwę serca słuchaczy, i każde słowo działało cuda, bo każde łaską poparte, orzeźwiało jak rosa, rozplamięniało jak ogień, namaszczało jak oliwa, a Duch święty pokojem i weselem swoim, napępiał kaznodzieję i słuchaczy jego.

Nie długo wszakże chrześcijanie radować się mogli spokojnie obecnością Apostoła; wznowiono edykt prześladowania i ścigano ich na każdym kroku. Poszukiwano szczególnie papieża Klemensa, który był przedmiotem najwyższej nienawiści pogan. Maurycy umyślił ukryć go w domu Ireny. Jakkolwiek nieznała ona jeszcze tajemnicy wiary młodzieńca, ulegając wszakże wpływowi wyższości moralnej jaki na nią wywierał, uczyniła zadość jego życzeniu, ufając, że ten którego on chroni od prześladowania, musi być godnym tej opieki. To też gdy odkryto później miejsce pobytu świętobliwego starca, i powiedziano ję kim był w istocie, mimo zgrozy jaką ją przejmowało imię chrześcijan, nie chciała go wydać prześladowcom jego.

— „Nie wiem, kto jesteś, wołała! Nie znam twojej nauki, aleś gościem moim, kto się więc najpierwszy zbliży do ciebie, musi przelać krew Fabrycyuszów, która w mych żyłach płynie. Lecz papież nie chcąc się uchylać od przeznaczenia swego, wyrzekł:

— Córko! w imię tego Boga którego nie znając uczciłaś dziś w mej osobie, rozkazuję ci idź w pokój! Nie przeszkadzaj im niech się stanie wola Pańska! Siły opuściły wtedy Irenę i zsuwając się do jego kolan:

— Ojcie pobłogosław szepnęła złamana.”

A Klemens nad nią wyciągnął ręce obciążone łańcuchami...

Widok poważnego i słodkiego oblicza ojca chrześcijan, a wręście świadomość, że Maurycy należy do nich zachwiała przekonania Ireny. Nie nadeszła wszakże jeszcze dla niej chwila łaski, i pycha pogańska nie chciała się uznać za pokonaną. Wkrótce potem zropaczona nagłym zgonem ojca, sama szukała śmierci, gdy znów zjawił się obok niej Maurycy. Słowa jego wówczas silniejsze niż kiedy wywarły na nią wrażenie, bo przemawiał już jako jawny wyznawca Chrystusa. Mówił o miłości krzyża i o miłości dla niej w Bogu. Irena sama czując dla niego miłość graniczącą, z uwielbieniem, słuchała go chciwie, nie mogła wszakże jeszcze pojąć uczuć jego. Zrozumiała je dopiero gdy nazajutrz ponosząc śmierć męczenną, przysłał jej pierścien swój, na zakład spodziewanego obok niej szczęścia w wieczności. Odwiedzając potem Wirginię i Domicellę w więzieniach mamertyńskich, tknięta obrazem jaki ję się tam przedstawił, spoglądając na pierścien ten zakrwawiony, jaśniejący dyamentowemi blaski,

zawołała: „Jam chrześcijanką!” Zdało ję się wtedy, że słyszy słowa Maurycego: „Każda kropla krwi mojej przelanej za wiarę, będzie błagała dla ciebie litości u Pana” i postanowiła wierną być jego pamięci; a gdy ze śmiercią Domicyana skończyły się ówczesne prześladowania, pobożnym życiem, spędzonym samotnie wraz z Domicellą, świadczyła o prawdzie którą znalazła wręście.

Na tem koniec powieści, której treść opowiedzieliśmy pobieżnie, w nadziei, że czytelnicy nasi sami poznamy się zechcą z całością. Sposób pisania p. M. G., jak to widać z przytoczonych tu ustępów, pełen niewymuszonej prostoty czyni książkę ję przystępną dla wszystkich, że zaś nie zbywa ję na zaciekającym zbiegu wypadków, wnosimy, że w tańszem odbiciu znalazłaby prędko rozpowszechnienie, z pożytkiem ogółu karmionego przez niesumiennych wydawców nędznymi utworami, których największą ponętą jest zaciekawienie opisami wpływającymi najgorzej na moralność klas nieoświeconych. A. B.

EGLANTYNA.

Powieść pani Beecher-Stowe.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO.

J. C.

(Dalszy ciąg).

— Patrzaj swojej roboty, wołała Asfixya, albo zobaczysz jak dostaniesz.

Wieczorem zerwawszy ję sukienkę zaprowadziła ją do mycia czyli jak się wyraziła szorowania; biedne dziecko, oblane zimną wodą, pod władzą twardej i szorstkiej dłoni, drżało od zimna i strachu niemając sił do obrony; potem obcierana ostrym płóciennym płatem, Eglantyna uczyła cięcia nożyczek miss Asfixyi na swę główce, a śliczne zwoje ję włosów, duma i pieszczota matki, spadły na podłogę i rzucone następnie w komin, jasnym ogniem spłonęły. Pod ten czas gorliwa opiekunka natarła jeszcze obnażoną główkę spirytusem kamforowym aby ją od zaziębnienia ochronić i wskazała łóżko w które dziewczynka położyć się miała. Struchlała dziecina, myślała że już na tem koniec, ale straszna władczyni zapytała jeszcze groźnie, czy umie pacierz.

— Co dzień go odmawiam, tu powtórzyła modlitwę, a miss Asfixya wysłuchawszy ję, przyznała sobie w wewnętrznym zadowoleniem, że należycie dopełnia obowiązków podjętych około sieroty.

W dawnych czasach powszechnie uważano dzieci jako małe istoty niemające żadnej wyłącznej cechy umysłu i charakteru, wymagające względnej uwagi i troskliwej bacności. Były to przedmioty które należało myć, czesać, ubierać, uczyć, karmić, bić i łajać podług ustanowionej reguły. Dzisiejsza filozofia socyalna wskazuje rodzicom i opiekunom delikatne odcienia mozolnego ich zadania, o których dawniej nie śniło się nikomu, ale też przyznać należy że w ówczesnym składzie towarzyskim, nie znajdowało się tyle wyłącznych specjalnych osobistości, które się wyradzają skutkiem odmiennych usposobień nowożytnego pokolenia.

Crab Smith i jego siostra, nie troszczyli się wcale o los dwojga sierot, poddanych strasznej i okrutnej ich opiece. Henrys nie tylko z rodu ale i ze skłonności delikatny i wykwiintny, był raczej sposobny

do umysłowej niż do fizycznej pracy. Pierwsze jego pojęcia rozwijały się pod serdecznym i troskliwym przewodnictwem matki, która im nadała cechę religijnej dążności, a łagodny i tkliwy charakter dziecka, kształcił się cierpieniem, przebywając zawczasu tę ostrą szkołę życia, która zwykle przynosi najbogatszy plon mądrości.

Pieszczotliwy, posłuszny a przytém zaradny chłopczyzna, od wszystkich mógł być lubiony. Eglantyna przeciwnie mieściła w sobie wszystkie żywioły samowolności niewieściej. Wesoła i lubiąca pochwały, rada była rozkazywać, ognista jej dusza szybko przejmowała wrażenia, a na przyszłość zwiastowała namiętny charakter. Obudziła się do życia między pieszczotami matki i usłużną troskliwością brata, wszyscy ją psuli i pieścili, nawet ojciec, w chwilach dobrego humoru, brał ją na ręce i opowiadał jej bajeczki; nigdy więc nie usłyszała ostrego słowa ani też żadnego nie odebrała rozkazu.

Nazajutrz po pogrzebie matki, zbudzono Henryka przed świtem, aby poszedł z najemnikami do kopania kartofli. Udał się tam z mocnym przedsięwzięciem pracowania szczerze, bo chciał na chleb zarobić, czując że wchodzi na drogę życia, i biedne jego uciśnione serduzko podniosło się mężką odwagą. Wykonywał rozkazy Craba z tak wytrwałą cierpliwością i posłuszeństwem, że ten ostatni nie mógł się zdobyć na gniew i naganą. Zmęczony całodzienną pracą, chłopczyzna powrócił z tą myślą: że jest albo raczej zaczyna być mężczyzną i pracuje na siostrę, aby jej zapewnić utrzymanie, chcąc jej to wszystko opowiedzieć za powrotem. Zdziwił się że nie wyszła na jego spotkanie, zapytał więc o nią niespokojnie poczciwej staruszki.

— Gdzie jest Tyna?

— Zabrała ją jego siostra Asfixya, rzekła cicho, wskazując na siedzącego męża.

— A po co? rzekł zmieszany.

— Będzie ją utrzymywać i uczyć roboty, ale chodźże umyj ręce, boś się cały zabrudził przy pracy.

— Jam do tego nie przyzwyczajony, rzekł chłopczyzna, ocierając starannie błoto z delikatnych paluszków, które do czego innego byłyby zdatne. Nie uskarżał się jednak na nic, tylko znów prosił aby mu powiedziano gdzie jest Tyna? gdyż pomimo znużenia, chciał iść do niej zaraz.

— Moje dziecko mówiła pani Smidt, potrząsając głową, nie trzeba im się sprzeciwiać, brat i siostra podobni do siebie z usposobienia, tu mrugnęła na Henryka widząc przybliżającego się męża.

Wieczera składała się z zimnego mięsa, kartofli i cydru, Henryś jadł bo był strudzony i głodny. Po wieczery poszedł znów do staruszki, prosząc aby mu wyjednała od męża pozwolenie odwiedzania siostry.

— Jeszcze ty biedaku nie znasz naszego pana, kiedy tego żadasz odemnie; oddawna jestem przyzwyczajoną do znoszenia jego władzy, właśnie jak o co proszę, to przeciwnie postąpi, jeżeli się co uda wyzyskać to nigdy odrazu; poczekaj jak on pójdzie do młyna, to ja pomówię z ludźmi, może mi który dopomoże; ale to dwie mile odległości i tam Asfixya stoi na straży jak buldog i nie dopuści cię do domu.

— A cóżbym ja tam przeszkadzał?

— Ona jest starą kobietą, złą i zdziwaczalą, jednakże postaram ci się dopomóc, chociaż to nie łatwe zadanie obejść mis Asfixyę; lubo kiedy do niej trafić nie można, to i ja czasami sobie radzę po trochu, chociaż to strach z nią zaczynać.

Dziecinne pojęcie Henryka zaledwie zdołało ogarnąć cały ogrom niedoli tej niewiasty, która przeszła przez

życie, zostając pod ostrym zarządem i policyjnym dozorem we własnym swoim domu. Usiadł biedak na łóżeczku, rozważając nad zdarzeniami w tak krótkim czasie zaszlemi; stanęły mu na myśli ostatnie słowa matki i odmawiane razem z nią modlitwy; i teraz je więc na kłęczkach powtórzył pobożnie, doznając błogiej ulgi, gdy wspomniał na ten głos ukochany, który mu mówił cichnym poszeptem: „Nie zwątpij nigdy o miłości Boga, a cokolwiek cię spotka, módl się do niego z ufnością”.

Wyrzekł więc z wiarą: „Ojciec mój drogi, odebrali mi siostrę, a ona jest małą dziewczynką, i nie może pracować, dozwól o Panie abyśmy znów połączeni zostali!”

Dziecinny umysł małej Eglantyny, rozbudzał się ustawicznym uczuciem przestachu, wstydu i gniewu, a nawet zemsty. Poddana srogiej władzy swojej opiekunki, zmuszana do ciężkiej pracy, znosiła surowe kary i pokuty, a marzyła tylko o szczęśliwych chwilach minionej przeszłości.

Miss Asfixya nie czuła nienawiści do dziecka, ale też i nie lubiła go wcale, uważając go na równi z każdym sprzętem, służącym do domowego użytku. Pamiętała o wyżywieniu i okryciu sieroty; wychowywała ją jak sama chowana była, sądząc że jej wielkie świadczy dobrodziejstwa. Gdyby jednak lwica chciała jakie zwierzątko hodować, nie byłoby mu gorzej jak biednej dziewczynce. Jednej niedzieli, wypoczywając po tygodniowej pracy, a dziwny to jest wypoczynek dla duszy, nie mającej związku z nadmysłowym światem, miss Asfixya chciała udzielić religijnej nauki swój wychowanicy, właśnie kiedy się wybierała do kościoła; odwołała ją więc od rozrywki, aby groźnym głosem czynić niektóre z katechizmu zapytania.

— Kto cię stworzył?

Dziecko nieraz słyszało to pytanie i wiedziało jak na nie odpowiadać, ale zacięło się w upornym milczeniu poglądając, z pod oka na swoją panią.

— Mów za mną: Wiekuisty Pan stworzył nieba i ziemi.

Eglantyna powtórzyła to cichym niewyraźnym głosem z trwożną niechęcią.

— Mów zrozumiale! wykrzyknęła wojowniczo Asfixya, bo cię schwycę za uszy. Na takie wezwanie uczennica wypowiedziała wyraźnie całe wyznanie wiary.

Matka uczyła ją poznawać miłosiernego i wielkiego Ojca, który kocha dobre małe dzieci, przeciwnie zaś miss Asfixya straszyla ją zawsze gniewnym sędzią i panem, opowiadając jak srogie kary wymierza tutaj tym, którzy go obrażają kłamstwem, lenistwem i nieposłuszeństwem. Przed kościołem ujrzała przecież Henrysia, i mocno uderzyło jej serduzko podczas nabożeństwa, a gdy to się skończyło, potrafiła się wysunąć z pod czujnego dozoru, i utorowała sobie drogę do brata, chwyciła go za rękę i poszepnęła żałośnie:

— Nie byłeś u mnie Henrysiu, a ja się z tobą muszę rozmówić.

— Bo widzisz Tyno oni mnie puścić nie chcą do ciebie, rzekł prowadząc siostrę do zakątka w podworzu, gdzie zajeżdzały wózki i wiązano konie; nie puszczają mnie, choć tak tęsknie do ciebie.

— Henrysiu zabierz mnie z tą, ona taka dla mnie okrutna, nie cierpię jej, uciekajmy!

— A gdzieś pójdziemy?

— Gdzie bądź, ja z nią nie wytrzymam tak jej nie nawidzę, sypiam w małej izdebce za kuchnią, przyjdź kiedy pod okno i zabierz mnie z sobą.

— Ha, może tak i zrobimy.

— Jesteś tu więc latawce zawołała Asfixya, chwytając małą za rękę, i rzuciła na Henryka przeszywające spojrzenie, zabierając ją z sobą.

Następnego wieczora Henryk znużony całodzienną pracą udał się do mleczarni pani Smidt. Biedna kobieta czuła się uszczęśliwioną obecnością tak dobrze wychowanego dziecka, bo umiał chłopczyk zasłużyć na doznawane względy i macierzyńską opiekę staruszki. Nieraz ją zręcznie ochronił od srogiego obejścia wspólnego tyrańca i wzajemnie sobie słodząc każdą chwilę, zupełne do siebie mieli zaufanie.

Dzisiaj przyszedł do niej przejęty niedolą siostry, i prosił znów aby wyjednała u męża pozwolenie, odwiedzenia jej.

— Moje dziecko, co ci się też roi po głowie. Och! jeszcze nie czas o tem pomyśleć, bo nie wytrzeźwiał dotąd po niedzielnym pijaństwie; niebezpiecznie więc zbliżać się do niego, postąpiłby z tobą jak z biednym moim Obodem.

— Któż był Obed?

— Syn nasz; a chociaż dobry pracowity, i na ślicznego wyrastał młodzieńca, nie mógł przecież w domu wytrzymać, Poszedł biedak w służbę okrętową dobijając się chleba, którego mu własny ojciec żałował, okrutnie się z nim obchodząc. Od czterech lat dwa tylko listy oddbrałam, a Crab nawet czytać mi ich nie chciał, pozwolić!

Stosunek pomiędzy miss Asfixyą, a jej wychowanicą, coraz się stawał drażliwszym; a od jakiegoś czasu, zanosilo się nawet na gwałtowną burzę, do której waleczna dziewczę gotowała się z groźnym zapalem. Twierdziła bowiem, że dzieci potrzebują od czasu porządnego jak zwykła mówić: *wytrzeźpania*, dla ustalenia ich na dobrej drodze.

W dziecinnej piersi sieroty zawrzała nienawiść; upór i zemsta, nieznanne jej w błogich dniach przeszłości, obudzone służebnym przymusem, ostrzyły jej dowcip na wyszukanie tysięcznych sposobów oparcia się tyraństwu swej pani, i wyrządzania psot rozmaitych; nie można było wszakże posądzić ją o nie, a raczej dowieść że w nich jaki udział miała.

Miss Asfixya nie mogła się wydziwić wszystkiemu co się u niej działo. Np. wchodząc rano do mleczarni, zdrętwiała widząc ulubionego czarnego kota, który tam nigdy nie bywał; a nawet sama go wieczorem za próg drzwi przesadziła. A tu Gomuś, wzór kotów zachowujący wszelkie warunki dowowego porządku przy gospodarstwie, wyszedł na przeciw niej z ubielonemi wąsami, pomrukując i niechętnie oglądając się za przewróconem naczyniem ze śmietaną, i potłuczonymi dzieżkami z mlekiem; a przecież Gomuś nie wszedł przez okno, bo to było zamknięte.

Zdarzało się też często miss Asfixyi że sama stłukła ulubione szklane lub porcelanowe naczynie, które niepojętym sposobem znalazło się w pobliżu jej łockia. Trafiła się też i wiele innych tym podobnych wypadków. Tyna zapierała się tak zręcznie wszelkiego w nich udziału, że ani łajanie, ani bicie, nie zdołało jej zmusić do wydania kłamstwa, w którym coraz więcej nabierała wprawy. Dawniej słyszane bajki o złowrogich olbrzymach i czarownicach dręczących swoje ofiary, odbijały się w pamięci sieroty, a dziecinna jej wyobraźnia dziwne wysnuwała z nich wnioski o obecnem swójem położeniu; marzyła o jednym, zwłaszcza opowiadaniu, gdzie *Janek* i *Malgosia* uciekają, ratując się od pogoni strasznej czarownicy, mocą cudownego zaklęcia.

Z tego powodu różne zamysły krążyły po małej główce dziewczęcia, aż w końcu przyszła chwila, w której tłumiony płomień w uciśnionych piersiach, wybuchnął z całą gwałtownością.

Pewnego razu Eglantyna korzystając ze świętecznego odpoczynku, zaczęła się bawić po swojemu, strojąc biedną izdebkę, w świeżo zerwane kwiaty, które nad łóżeczkiem zawiesiła, w kształtny je ułożywszy wianeczek. Uzbierała rozmaitych płatków i szklanych różnobarwnych skorupki i te poukładała zręcznie na podłodze, przetykając je gałązkami. Jeszcze przyniosła sobie pełen fartuszek liści i jagódek, aby swego dzieła dokończyć; a kiedy się w najlepsze zajęła tak miłą dla siebie robotą, miss Asfixya wpadła do pokoju z miotłą w rękę, podobna do jednej z tych furji, które w podaniach starożytnej Grecji, uważane były za klęskę domowego spokoju.

— Widzisz ją! zawołała z gniewem. Otóż dopiero zaśmieciła mi mieszkanie. Nie można ci jednej chwili zaufać. Zaraz mi to powynos, żebym tego barłogu nie widziała! Pochwyciwszy potem wszystkie skarby dziewczęcia, wyrzuciła je do śmietnika.

Tu już oburzenie i niechęć zawrzały w duszy dziewczęcej. W obłędzie żalu i gniewu, niepomna dalszych skutków, z rozplamioną twarzą, i błyszczącymi oczami, Tyna rzuciła się ku miss Asfixyi z głośnym płaczem.

— Nie cierpię cię! nienawidzę... niegodziwa stara czarownico!

— Także to? Oho! mościa panno! teraz odbierzesz nauczkę, która ci się od dawna należy. Tu nastąpiła obustronna walka, z której miss Asfixya wyszła zwyciężką, chociaż dziecko broniło się, szczyptało i gryzło swoją przeciwniczkę, która je zbiła niemilosierdzie.

Gdy potem biedna mała leżała na swoim łóżeczku, bezwładna, głodna i zgorączkowana, rzucając się jeszcze konwulsyjnym drżeniem, posłyszała szelest u okna... i szorstka chropowata ręka rzuciła jej na łóżko gałęz z owocem świeżo z drzewa urwaną.

Był to Sol, robotnik, którego wytrzeszczone oczy przejęły ją strachem pierwszego dnia przy wieczery.

— Jedz biedaczko, rzekł, przyniosłem ci to na posiłek tylko chowaj... żeby nie dostrzegła.

— Mój drogi ratuj mnie! Powiedz Henrysiowi żeby mnie ztąd zabrał, wyszeptala płacząc.

— Pójdę do niego, choćby pioruny biły i wszystko mu powiem, odrzekł poczciwy Sol, który z oburzeniem dowiedział się o tem co zaszło; pójdę, sprowadzę go... i dopomogę... Biedne dziewczątko! boć to i dobre i miłe... Aż wstyd, żeby w tak wielkiej babie nie było ani okruszyny miłosierdzia!

Eglantyna pożywając owoce, mówiła sobie uspokojwszy się nieco. „Chociaż on ma wielkie oczy, patrzące niemile, a ręce drapieżne i czarne, to ja go Kocham przecie, bo dobry.

I zasnęła zmęczona.

— A to skaranie prawdziwe z tym chłopakiem, wołał stary Crab, w uniesieniu gniewu. Nie domyślał się jednak, że skutkiem tajemnej zmywy pomiędzy jego żoną a poczciwym Solem, sieroty były teraz z sobą.

Sol tak dobrze rzeczy pokierował, że miss Asfixya wyjechała z domu dla rozmaitych interesów; Crab zaś udał się do młyna, bo mu to jakoś wypadło właśnie na ten sam dzień, więc żona jego wysłała Henrysia do miss Asfixyi, w bardzo pilnym interesie. Nie zastawszy jej w domu, czekał aż powróci i cieszył się z siostrą, rozmawiając z nią, lubo już czwarta była godzina.

— Gdzież się ten próżniak obraca? wołał tymczasem Crab.

— O kimże mówisz? zapytała żona.

— A o kimże, jak nie o tym nygusie Henryku.

— Ależ ja go posłałam do Asfixy.

— Ty... posłałaś go! wyjąkał z wściekłością.

— Czegoż się tak gniewasz mój drogi! Potrzebuję drutów do roboty, które dawno mi twoja siostra obiecała; więc napisałam do niej. On pewnie już wraca.

Crab, stał jak wryty. Już wyczerpał był od dawna cały słownik obelżywych wyrazów, nie znalazł więc nic nowego do powiedzenia kobiecie, którą ciągle poniewierał, nareszcie zakrzyczał ochrzypłym głosem:

— Ja mu pokażę, kto tutaj rządzi!...

— Ależ to moja a nie jego wina.

— A—ja... rozkazałem mu, żeby poszedł na pole do roboty, i... radbym wiedzieć, czy mu tu wolno zaniedbywać moje zlecenia, dla włóczenia się po twoich posyłkach, już piąta dochodzi, a on tam gawędzi z tą małą próżniaczką. I tak się z nią Asfixya nabawiła nie małego kłopotu.

— Da ona sobie radę, twoja Asfixya, poszepnęła staruszka schylając się nad robotą.

Ale niespokojnie śledziła wzrokiem po drodze, dziwiąc się, że tak długo Henryś nie wraca, aż nakoniec, ujrzała go z daleka, i wybiegła na jego spotkanie:

— Jakżeż mogłeś tak długo bawić? On się gniewa na ciebie.

— Nie wiedziałem jak sobie radzić, Tyna pobiegła za mną, i zaledwie mogłem ją namówić do powrotu musiałem ją z drogi odprowadzić do domu, co mi wiele czasu zabrało. Ona nie może zostawać dłużej u tak złej kobiety.

— Asfixya dla nikogo nie jest dobrą, ani miłą — ale cóż robić? trzeba się zastosować do tego co jest.

— Nie można ję tam zostawić, a my oboje musimy być razem.

— Ależ mój biedny chłopczyno, gdzież byście się podzieli?

— Bóg nas nie opuści, odparł z westchnieniem.

Oczy Henrysia jeszcze łzami były zroszone, kiedy z trwogą przestąpił progi domu.

— Jesteś tu malcze — próżniaku, włóczęgo, zaryczał Crab—gdzież się to wałęsał?

— Odwiedziłem moją siostrę, odpowiedział śmiało.

— Takżeto? A gdzież są druty, po któreś chodził?

— Nie zastałem nikogo, coby mi ich dał.

— A dla czegoś zaraz nie wrócił nicponiu?

— Bo musiałem się rozmówić z siostrą. Matka mi ją powierzyła i nie należy nas rozdzielać.

— Będziesz mnie uczył!.. wykrzyknął Crab a schwywszy chłopca za ucho, wykręcał nim wkoło.

— Dajcież mi pokój, zakrzyczał chłopczyna w uczuciu bólu i niesprawiedliwego ukarania.

— Oho! poczekajno paniczu, nauczę je ciebie, kto tutaj jest panem... i chwyciwszy za kark biedaka, włóczył go po ziemi.

— O! mój panie zlituj się nad nim, wołała staruszka, wyciągając drżące ramiona.

Ale cóż pomoże krzyk słabego ptaka, kiedy sokół porywa swą zdobycz.

— Zdejmuj kaftan!—zawołał Crab, biorąc kij do ręki.

Henryś należał do liczby tych dobrych, potulnych dzieci, które nie łatwo rozdrażnić, chyba wtedy gdy się uniosą oburzeniem za niesprawiedliwe obejście, bo każde stworzenie, chociaż drobne i bezsilne, nabiera niezwykłej siły, skoro jest podniecone tém uczu-

ciem. Chłopczyna cofnął się dwoma krokami, a chociaż trząsał się cały, patrzył śmiało, a z modrych, iskrzących oczu jego błyskały światła płomienne.

— Uderz mnie jeżeli śmiesz! Wściekły okrutniku! Czy nie wiesz, że Bóg patrzy na ciebie? Bóg jest moim Ojcem. On wezwał moją matkę do siebie... jeżeli mnie ukrzywdzisz, On cię ukarze! Ty wiesz, że nie popełnił nic złego, a Bóg o tém wie najlepiej!..

Crab stanął osłupiały, wpatrywał się z przerażeniem w niepojęte widzenie, które się oczom jego nagle objawiło i tylko zdołał na wpół zrozumiały wyjeżdżać: Idź, idź... nie uderzyłem cię... i szybkim krokiem pomknął do austerji, a tam dopiero usiadł w kącie zadumany, nie odzywając się wcale.

Chłopczyna tymczasem zbliżył się do staruszki.

— Ach! moje dziecko, myślałem, że cię już chyba zabije.

— Nie dozwolił tego Ojciec mój niebieski.

— Chyba że ci zesłał aniołów swoich na pomoc. Prawda, że Daniel wyszedł bezpieczny ze lwiej jaskini, dodała... lecz gdzież on poszedł?

— Zapewne do austeryi. Ale ja was muszę pożegnać, bo tu dłużej nie zostanę.

— A gdzież byś poszedł?

— Poszukać lepszego miejsca, gdziebym mógł się siostrą opiekować.

— A więc mnie opuścisz? zawołała! nie będę już miała nikogo! Ale cię nie chcę zatrzymywać—idź, bo prawda, że tu nie wytrzymasz dłużej.

Pocziwa kobieta opatrzyła potem Henrysia w rozmaite zapasy podrózne i wyprawiła go w drogę. Postanowił iść dalej, a dalej w świat szeroki, póki nie znajdzie dobrych ludzi, którzyby go wraz z siostrzyczką przyjęli pod opiekę.

Czekała go Tyna w niespokojnej trwodze, a kiedy przyłożyła wieczorem główkę do twardej poduszki, usłyszała szmer pod okienkiem, wkrótce ukazał się Henryś szepcząc z cicha:

— To ja siostrzyczko... przyszedłem po ciebie, nie odzywaj się a jak wszyscy będą spali, wyjdiesz do mnie okienkiem, tymczasem będę czekał na ciebie.

W tej właśnie chwili odemknęły się drzwi izdebki. Zaledwie chłopczyna zdążył się cofnąć, a Tyna schować pod koldrę, miss Asfixya weszła ze światłem. Przejrzała wszystko, a biorąc w ręki robotę dziecka, rozwinęła ją. Otóż i wykończyła com ję kazała obrabić... Oj!... dobrze, dobrze jak się skórę wybije.

— Nie będziesz mnie już biła... szeptała Tyna z pod kolderki.

Stary Crab wrócił do domu, zupełnie pijany, co mu się rzadko trafiało, bo zwykle, podchmielał sobie tylko, to go też utrzymywało w stanie ustawicznej, podrażnionej wściekłości.

Dowiedziawszy się o odejściu Henryka, zawołał:

— Mniejsza o to... Nie lubię ja się zadawać z nieboszczykami. Ona... patrzyła na mnie... tak ognistemi oczyma... wyrażając skostniałemi dłońmi... nie... nie nie chcę tego wcale...

Dziwne wstrząśnienie objawiło się w tym człowieku tak szalenie gwałtownym, zdrętwiały i zamysłony, zapewniał, że w chwili, kiedy chciał rzucić się na Henrysia — ujrzał unoszącą się nad nim w powietrzu, tę samą postać zmarłej jego matki, którą niedawno pochowano na wiejskim cmentarzu, i za nic w świecie nie chciałby już gonić za małym zbiegiem. Poranek pozdrowił ziemską przyrodę jaskrawym blaskiem wschodzącego słońca. Rozsiewało ono tysiączne światła na wspaniałej niebios purpurze, spiąc je obficie na tle roz-

łożonego krajobrazu, pozłacało drzew gałęzie i gór i skał wierzchołki, przeglądało się w wód głębinie, a nawet zajrzało do okna sypialni miss Asfyxi; ale ona niedostrzegła roztoczonego przed sobą hojnego bogactwa natury, tylko zmiarkowała że czas się zabrać do roboty i wspólnie z swoją krową patrzyła bezwiednie na otaczające przedmioty. Zawołała Sola aby prędko wstawał bo słońce wysoko, a znów się spóźnił przez zwykłą ospałość, jak to zauważyła ostro. (c. d. n.)

ELEMENTARZ DO SAMOUCTWA.

Nauka czytania i pisania będąca pierwszym krokiem na polu oświaty, jest niewątpliwie koniecznie potrzebną każdemu. Dotąd rozkrzewiały ją jedynie szkoły elementarne, których działanie, okazało się wszakże wszędzie niedostatecznym, ze względu na znaczną ilość ubogiej ludności potrzebującej oświaty, coby ją powstrzymać mogła skutecznie, na drodze demoralizacji i złych nałogów. Nagląca potrzeba podania środków ułatwiających naukę, mianowicie dla ludzi dorosłych, niemogących już uczęszczać do szkółek, wywołała na Zachodzie usiłowania, których ostatecznym wyrazem jest: samouctwo.

Metoda samouctwa dąży do ułatwienia nauki czytania i pisania za pomocą środków mechanicznych, nie nie znaczących, drobnych na pozór, w gruncie jednak rzeczy, do świetnych wiodących rezultatów.

Przekonani o potrzebie działania u nas w tym kierunku, wsparci doświadczeniem znakomitych na tym polu pracowników, wydajemy elementarz, który za kilka tygodni prasę opuści, elementarz, będący owocem zbiorowej pracy.

Pomysł tego elementarza jest następujący:

Głoski w elementarzyku są dwojakie pisane (kształtu *cursive*) i drukowane. Tym sposobem dziecko uczy się odrazu pisać i czytać. Cały elementarzyk jest drukowany *farbą czerwona*, co jest, jak zaraz zobaczymy, wielkiego znaczenia praktycznego. Ktoś pokaże nieświadomemu, że głoska, którą widzi w elementarzu nazywa się *a*. Skoro uczeń dobrze się jęj przypatrzy, należy mu kazać zakreślać *piórem*, wszystkie *a*, jakie tylko napotka w całym elementarzyku. To znaczy, że po chwilowem zetknięciu się nauczyciela z uczniem, uczeń *bez jego pomocy* ma zajętych kilka, co najmniej, godzin, i to *pracą samodzielną*. Gdy uczeń zakreśli wszystkie *a* w elementarzyku, będzie już mógł z pewnością nie tylko rozpoznać tę głoskę w każdej innej książce, ale, co większa potrafi ją i napisać. Następnie nauczyciel pokazuje uczniowi, że druga z kolei głoska zowie się *b*, i t. d. Nie dość na tem. Uczeń, znający *a* i *b*, i który zakreślał je w całym elementarzyku, jest już doskonałym nauczycielem dla nic nie umiejącego. Abecadło to podwójne, zajmuje pierwsze dwie stronicie elementarza, składającego się z 16 stronic tylko. Trzecia i czwarta stronnica zawiera liczbowanie, a to dlatego, że każdy umie z pamięci liczyć kolejno, tak, że pisząc cyfry i liczby literami, za jednym razem odnosi się potrójna korzyść: znajomość cyfr liczbowych, zgłoskowanie przy pisaniu każdej cyfry literami, i wreszcie, wprawa w pisanii. Nauczający potrzebuje poświęcić krótką jeno chwilkę czasu, aby objaśnić ucznia, jak ma korzystać z tego ćwiczenia.

Od 5-jej do 12-jej stronnicy mieści się pacierz drukiem i pismem (*cursive*) znów dlatego, że każdy umie pacierz na pamięć, a zatem piszący go, łatwo może nauczyć się zgłoskowania, a następnie czytania.

Wielokrotne pisanie na elementarzyku, a potem z pamięci na czystym papierze, przygotowuje ucznia tak dalece, że może próbować czytania na innej książce i przepisywania jęj.

Ostatnią część elementarza zajmuje słownik ilustrowany i tu rysunki (drzeworyty) odpowiednie wyrazom, ułatwiają ich odczytywanie.

Próby podobnego elementarza mieliśmy jeszcze przed trzydziestą laty robione przez ludzi dobrej woli tu w Warszawie — lecz niestety! skutkiem niemal powszechnej u nas obojętności ogółu na kwestye poważne, a także zapewne, skutkiem zaniedbania koniecznych środków rozpowszechnienia, ogłoszeń i t. p. przedsięwzięcie w tak znacnym podjęte celu, żadnych prawie nie wydało owoców.

Obecnie wyjść mający elementarz jest, pod wieloma względami, doskonalszym od tamtego, ulepszonym za poradą ludzi światłych i specjalistów. Mniemamy, owszem, jesteśmy silnie przekonani, że obecny elementarz do samouctwa, przyczyni się wielce do ułatwienia i rozpowszechnienia nauki czytania, będącej gruntem, na którym wznieść można i trzeba cały późniejszy gmach wiedzy. Przewodnikami w tym względzie mają być w dalszej drodze, książki, również jak niniejszy elementarz, na podstawie samouctwa opracowane, i o ich wydawaniu już teraz myślimy.

Jakkolwiek w innych naszych oddzielnych wydaniach dla czytelników oświeconych, jak dotychczas tak i nadal trzymać się będziemy głównych zasad pisowni najznakomitszego naszego gramatyka Fr. ks. Malinowskiego, zasad, opartych na głębokiej znajomości narzeczy słowiańskich, to jednak w elementarzyku, o którym mowa, utrzymaliśmy pisownią deputacyi ortograficznej *b*. Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jako najbardziej rozpowszechnioną, i rzec można, ó co tu najgłówniej chodzi, najprostszą, najprzystępniejszą dla umysłu prostaczków, a zatem najlepiej celom pedagogicznym posługującą. Elementarz ten wyjdzie za kilka tygodni, drukuje się w drukarni p. Jana Jaworskiego, wyraźnym i pięknym pismem, umyślnie dla elementarza odlanym, na papierze trwałym welinowym; mimo to cenę elementarza, w widokach oświaty, oznaczmy jak najniższą, wiedząc z doświadczenia, że nawet starszy uczeń, a cóż dopiero dziecko, jednym egzemplarzem obejść się nie może.

Dr. Władysław Miłkowski.

REKOMENDACYA GUWERNERÓW i GUWERNANTEK

Leokadyi Micińskiej.

Ulica Leszno Nr. 663.

Matki zajmujące się wychowaniem dzieci wiedzą najlepiej jak trudnym jest wynalezienie odpowiednich osób do pomocy w edukacji domowej. Pośredniczący w wyszukaniu ich, ważne w tym względzie oddać mogą usługi, jeżeli tylko postępując sumiennie, starają się powziąć dokładne wiadomości o tych których stręczą, nie zaręczają nigdy za nieznanym sobie. Do istniejących już w Warszawie rekomendacyi przybyła obecnie nowa, pani Leokadyi Micińskiej przy ulicy Leszno Nr. 663. Pani Micińska jest wdową po urzędniku drogi żelaznej, który ją zostawił bez żadnego sposobu utrzymania wraz z siedmiorgiem dzieci, łatwo więc pojąć jak ważną jest dla niej pomyślność w obranym sobie zawodzie, i o ile dołoży wszelkich możliwych starań, aby nie zawieść położonego w sobie zaufania. Nie wątpimy, że potrafi wywiązać się godnie z założenia swego, i polecamy ją tym wszystkim, którzy potrzebują, lub potrzebować mogą nauczycieli lub nauczycielek, a ułatwiając sobie ich wynalezienie, zechcą zarazem przyjść w pomoc matce dla której wychowanie dzieci jest tak ciężkim zadaniem.